



JAN HUDSON



*Milioner z
Teksasu*

Tytuł oryginału: One Ticket to Texas



PROLOG

- Po moim trupie, draniu!

Irish Ellison z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi wejściowe i wzburzona pomaszrowała do pokoju, gdzie obie jej współlokatorki oglądały telewizję.

- Mężczyźni mruknęła, zrzucając z nóg buty na wysokich obcasach, po czym padła ciężko na kanapę obok Olivii.

- Domyślam się, że nie mogłaś dojść do porozumienia z urzędnikiem biura senatora?- odezwała się Olivia, podając jej miseczkę z prażoną kukurydzą.

- Dobrze się domyślasz. - Irish wzięła garść kukurydzy i włożyła do ust kilka ziarenek. - Co za gnojek!

- A co się stało? - spytała Kim. - Gavin był taki miły. Myślałam, że coś się wreszcie zaczęło między wami.

- Ja też tak myślałam. Do chwili kiedy wystartował do mnie z prośbą o pożyczkę. Możecie w to uwierzyć? ta świnia zaprosiła mnie ze dwa razy na przyjęcia organizowane przez ambasady, z darmowym pićiem i jedzeniem, a potem chciała pożyczyć ode mnie pieniądze.

- Naprawdę? - Kim nie posiadała się ze zdumienia.

- Naprawdę. Okazało się, że zalega z alimentami.

- Nawet nie wiedziałam, że Gavin był żonaty zdziwiła się Olivia.

- Ja też nic odparła Irish opierając nogi na stoliku. - Aż do dzisiaj. Na dodatek był żonaty dwa razy i ma czworo dzieci. Dlaczego mnie zawsze

przytrafiają się takie ochłapy, których już nikt nie chce? Olivia, ty jesteś psychologiem, powiedz, czego mi brakuje?

Olivia, najstarsza z trzech przyjaciółek i nie tylko z tej racji uważana za najmądrzejszą, przyjrzała się krytycznie byłej modelce, która miała nogi niemal sięgające szyi, figurę będącą marzeniem większości kobiet i wspaniałe miedzianoblond włosy.

Co prawda jeszcze nic zrobiłam doktoratu, ale o ile mogę cokolwiek stwierdzić, rzecz nie w tym, żeby tobie czegokolwiek brakowało. To wina tego miasta. W Waszyngtonie są dziesiątki kobiet - wspaniałych, samotnych kobiet - które ubiegają się o nielicznych jeszcze wolnych mężczyzn, a nawet o tych, którzy już nie są wolni, Jeśli chcesz złapać jakiegoś faceta, to po prostu wybrałaś złe miejsce,

- Wcale go nie wybierałam. Mieszkam tu tylko dlatego, że w Nowym Jorku coraz trudniej o pracę, a poza tym dostałam ten dom od cioci Katie. Może jednak lepiej byłoby, żebym przeniosła się na Alaskę. Podejrzewam, że tam chłopcy wprost rozpaczliwie poszukują kobiet,

Żadna z koleżanek nie wspomniała o trzecim powodzie, dla którego Irish opuściła Nowy Jork.

- Ja tam nie szukam żadnego faceta oświadczyła Olivia. - Lubię po prostu to miejsce i moją pracę

- Co oglądacie? - spytała Irish, spoglądając na ekran, na którym królowała właśnie Marilyn Monroe.

- „Jak poślubić milionera” odparła Kim.

- Ten pomysł mi się podoba. Moja mama zawsze powtarzała, że tak samo łatwo jest zakochać się w facecie bogatym, jak w biednym.

- Myślałam, że twój ojciec jest rzeźnikiem.

- No cóż, mama była słabą uczennicą. Wiecie, zastanawiam się, gdzie w dzisiejszych czasach można natknąć się na milionera: przystojnego, samotnego i marzącego o małżeństwie?

- W Teksasie.

Irish i Olivia jak na komendę odwróciły głowy i ze zdziwieniem spojrzwały na Kim, najmłodszą z całej trójki.

- W Teksasie? - powtórzyły chórem.

- Oczywiście. Moja... mój szef jest milionerem i pochodzi z Teksasu.

- Przecież twój szef jest kobietą.

- Tak, ale ona ma młodszych braci i dwóch kuzynów. Żaden z nich nie jest żonaty i wprost tarzają się w pieniądzach.

- Pewnie są grubi, łysi i mali, prawda?

- Wcale nie - odparła Kim z uśmiechem W każdym razie ci, których widziałam, wyglądają zupełnie nieźle. I są wysocy. Chcecie, żebym przyniosła ich zdjęcia?

- Ja dziękuję - odparła Olivia. - Nie jestem zainteresowana.

- Ale ja jestem. - Irish zerwała się z miejsca, - W przyszłym roku skończę trzydzieści lat. Marzę, żeby do tego czasu zamieszkać w jakiejś przyjemnej rezydencji i jeździć sześciometrową limuzyną. Mam po dziurki w nosie prezentacji kosmetyków w sklepach i wtykania na siłę różnym pismom moich artykułów o tym, jak dbać o urodę, A to wszystko ledwo wystarcza na raty za mój maleńki samochodzik. Który z braci jest najbogatszy i najprzystojniejszy?

- No cóż... - zastanawiała się Kim. - Chyba Jackson, ale on nie mieszka w Dallas. Chociaż z drugiej strony kuzyni...

- Wystarczy, niech będzie Jackson. W jaki sposób mogłabym go poznać?

Olivia patrzyła na nią wstrząśnięta.

- Chyba nie mówisz poważnie? Przecież stan konta bankowego nie może być jedynym kryterium przy wyborze męża.

- Nie może? No to powiedz mi, dlaczego?

- A miłość? - spytała Kim. - Gdzie tu miejsce na namiętność?

- Uważam, że za dużo wagi przykładła się do namiętności.

Ważniejsze jest zabezpieczenie na stare lata. A zresztą dla mnie pieniądze są bardzo seksowną rzeczą.

Irish spojrzała znów na ekran i przez parę minut z zaciekawieniem śledziła akcję, coś przy tym obmyślając. Wreszcie spojrzała na przyjaciółki z szelmowskim błyskiem w oku.

- Trzeba zacząć od ustalenia strategii działania...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Irish jeszcze raz bezskutecznie potrząsnęła łańcuchem z kłódką, zamykającym bramę. Ani drgnęło. Jej odwaga powoli topniała, zapadała się gdzieś głęboko, jeszcze głębiej niż obcas nowych butów w piaszczysty grunt.

Według wskazówek sekretarki, Ellen Crow O'Hara, miała wjechać właśnie tędy i przebyć jeszcze ze około kilometra. Ale jak może wjechać, kiedy ta cholerna brama jest zamknięta?

Rozgoryczona, wróciła do wynajętego na lotnisku w Dallas mercedesa. Wcale nie szło tak, jak sobie zaplanowała. Wydała wszystkie pieniądze na uwodzicielskie ciuchy i wydebiła zaliczkę od zaprzyjaźnionego redaktora „Esprit” na artykuł o rozrywkach młodych milionerów z Texasu. Wystarczyło akurat na bilet na samolot i wynajęcie samochodu. Zakwaterowanie i wyżywienie w Crow's Nest - klubie golfowym Jacksona Crowa, położonym za tą zamkniętą bramą, na pustkowiu, gdzie sam diabeł mówi dobranoc- miało być na koszt właściciela. Tak w każdym razie powiedziała sekretarka Ellen.

Irish poczuła, jak z głodu kurczy jej się żołądek. Mijała już pora lunchu. Czyżby w którymś momencie popełniła błąd? Pozostało jej jedyne wyjście - wrócić tą samą drogą, którą tu przyjechała, i poszukać telefonu.

Znów jechała odludną okolicą, przez lasy poprzedzielane zielonymi łąkami, na których gdzieniegdzie stały wielkie maszyny, wyglądające z daleka jak olbrzymie koniki polne, poruszające głowami w górę i w dół.

Wreszcie wjechała na autostradę i po niedługiej chwili zauważyła osobliwy drewniany budynek, a przy nim parking. Nad drzwiami wisiała tabliczka z napisem: „Faktoria Pete'a Cherokee”, a pod tym mniejszymi literami: „Sklep spożywczy, muzeum Indian, wigwamy do wynajęcia. Właściciel: Pete Beamon”.

Na lewo zobaczyła cztery duże, jaskrawo pomalowane domki w kształcie namiotów. Wyglądały topornie, jakby zrobiono je z gipsu czy cementu. Irish skrzywiła się i wysiadła z samochodu. Weszła do sklepu, ale nie było tam nikogo, jeśli nie liczyć drewnianych figur w pióropuszech.

- Halo?! - zawołała.

Cisza. Zrobiła kilka kroków w głąb mrocznego wnętrza, gdzie stały regały z towarem, lada chłodnicza i długi, drewniany kontuar. W rogu zobaczyła dwa stoliki i krzesła oraz pękaty piec, zaś obok piętrzyły się tradycyjne wyroby rękodzielnicze - siodła, szufle i inne pamiątki, a także kosze ze słodkimi ziemniakami.

- Czy jest tu ktoś?

Wciąż panowała dziwna, drażniąca cisza. Nagle usłyszała daleki odgłos, podobny do szybkiego stuku kastanietów. Wystraszona cofnęła się, wyszła na dwór i cicho zamknęła drzwi. Stała na ganku i zastanawiała się nad kolejnym krokiem, kiedy jej uwagę zwrócił dźwięk podobny do silnika motocykla, dobiegający ze stojącej nieopodal długiej szopy.

Poszła tam, ostrożnie stąpając po miękkiej ziemi, żeby nie zniszczyć butów, I kiedy zajrzała do środka, stanęła jak wryła na widok znajdującego się tam mężczyzny.

Nie chodziło o to, że był to jakiś tam mężczyzna. Miała przed oczami ponad metr dziewięćdziesiąt wspaniałej męskiej urody, przyodzianej jedynie w kapelusz, kowbojskie buty i dżinsy. Nieznajomy rzeźbił w drewnie figurę niedźwiedzia, używając małej piły łańcuchowej, a mięśnie ramienia i barków grały mu tuż pod opaloną skórą.

Nigdy jeszcze widok żadnego mężczyzny nie podziałał na nią tak piorunująco. Irish nie mogła się ruszyć - stała z otwartymi ustami i gapiała się. Strużka potu perliła się na jego skórze. Był niewiarygodnie przystojny, ze zgrabnym nosem, wysokimi kośćmi policzkowymi i wyraźnie zarysowaną szczęką.

Zaś oczy... kiedy jego oczy zwróciły się ku niej, na moment zaparło jej dech w piersi. Piła w ręku mężczyzny drgnęła i odłupała rzeźbionemu niedźwiedziowi ucho.

- Cholera!

Wyłączył piłę i odłożył na bok Irish poczuła się okropnie.

- O Boże. Tak mi przykro, że przeze mnie zniszczył pan swoją pracę.

- Moją pracę? - powtórzył niskim głosem, który sprawił, że poczuła wibrację przenikającą ją aż do czubków palców u stóp.

Zaczerwieniła się, co nie zdarzyło jej się od czasu szkoły podstawowej. Wskazała na nie ukończoną rzeźbę.

- Niedźwiedzia.

Jego uśmiech o mało nie zwałił jej z nóg. Mężczyzna odsunął do tyłu kapelusz i poklepał rzeźbę po głowie.

- Nie ma sprawy. Możemy nazwać go Vince.

Wciąż stała jak zahipnotyzowana, czując jedynie drzenie przebiegające przez jej ciało.

- Vince?

- Tak, Vince - powtórzył, uśmiechając się jeszcze szerzej i mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, tak jak ona jego. - Od Vincent. Vincent Van Gogh.

W głowie miała całkowitą pustkę.

- Vincent Van Gogh? - spytała bezmyślnie.

- Malarz, który obciął sobie ucho.

- Ach... - Irish poczuła się jak idiotka. - Ten Vincent. Nieznajomy zdjął rękawice, wziął wiszący na gwoździu ręcznik i zaczął się wycierać.

- Co mogę dla pani zrobić? - spytał.

- Zrobić dla mnie? - Długo można by wyliczać, pomyślała, spoglądając na jego długie, szczupłe palce. Wyobraziła sobie, co mógłby jej nimi robić, a wszystko to były rzeczy nadzwyczaj intymne. Nagle zapragnęła ich aż do bólu. Usłyszała, że nieznajomy zachichotał, i poczuła, że znów oblewa ją rumieniec.

- Potrzebuje pani pomocy?

- Pomocy? Ach, tak. Czy... czy pan jest Pete Cherokee?

- Nie, Pete to mój dziadek. Ja jestem Kyle. - Rzucił gdzieś ręcznik, złapał koszulę i włożył ją pośpiesznie. - Kyle Rutledge - przedstawił się.

- A ja nazywam się Irish. Irish Ellison.

O mało nie powiedział „wiem”. Dawniej, jeszcze w Kalifornii, kobiety często przynosiły mu jej zdjęcie z jakiegoś pisma czy magazynu, chcąc pokazać, jaki chciałyby mieć nos czy kości policzkowe. Uniósł lekko kapelusz.

- Miło mi panią poznać powiedział. - W czym mógłbym pomóc ?

- Proszę im powiedzieć, czy ta droga prowadzi do Crow's Nest? -
przez ramię pokazała mu kierunek.

- Tak. Właśnie tam

- O Boże, Bałam się, że pan tak pan odpowie. Miałam spotkać się z
Jacksonem Crowem, ale brama jest zamknięta.

A niech to wszystko jasna cholera! Oto pojawia się jedna z
najpiękniejszych kobiet na świecie, której widok poruszył go do żywego, a
tu okazuje się, że przyjechała do jego cholernego kuzyna. Jackson to
jednak najszcześniejszy drań pod słońcem.

- Jackson wyjechał.

- Jak to wyjechał? Szmaragdowe oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Po prostu wyjechał

- Ale... ja przecież byłam z nim umówiona. Miałam spędzić kilka dni
w jego posiadłości, pracując nad artykułem. O nim i o innych młodych
milionerach.

- Pani go zna?

- Nigdy go nie widziałam- odparła potrząsając głową.

- On i to jego zwariowane towarzystwo postanowili nagle polecieć
do Dallas na niedzielny mecz Kowbojów- powiedział Kyle, czując ulgę. -
Na pewno wrócą w poniedziałek.

- Przecież dzisiaj jest dopiero piątek.

- Zaczęli zabawę trochę wcześniej. Musiała pani minąć się z nimi
dosłownie o włos.

- Byliśmy umówieni kilka godzin temu, ale mój samolot spóźnił się,
a potem jeszcze miałam trudności przy wynajmowaniu samochodu.

Patrzył, jak przygryza wargę. Wyglądała na bardzo zmartwioną i przestraszoną. Miał ochotę pogonić za Jacksonem z siekierą tylko za to, że przez jego nieobecność zmarszczyły się te pięknie zarysowane brwi.

- Na pani miejscu nie przejmowałbym się tym zanadto. W poniedziałek Jackson będzie z powrotem, o ile wytrzeźwieje na tyle, żeby lecieć samolotem.

- Wytrzeźwieje? To znaczy, że on dużo pije?

O, na pewno nie będzie jej przedstawiał Jacksona w korzystnym świetle, ten drań i tak ma więcej kobiet, niż można sobie wyobrazić.

- Jak gąbka - powiedział, dodając w duchu: „Wybacz, kuzynie”.

Znienacka rozległ się wystrzał, a Kyle pomyślał, że to niebiosy zsyłają piorun, żeby położył go trupem za to kłamstwo. Irish aż podskoczyła.

- Co to było?

- To tylko dziadek Pete. Leży w łóżku, bo ma złamaną kość biodrową i jeśli czegoś potrzebuje, strzela z pistoletu przez okno.

- Nie lepszy byłby dzwonek?

- Nie zna pani dziadka - odparł, uśmiechając się szeroko. -

Zapraszam do środka. Sprawdzę tylko, czego chce dziadek, a potem zobaczymy, jak można zaradzić pani kłopotom. Jest już chyba pora lunchu. Czy pani jest głodna?

- Straszliwie.

- Lubi pani chili?

- Z fasolą?

- Kobieto, wypłuj to słowo. Tu jest Teksas. Tylko Jankesi mogą psuć chili, dodając fasolę. Pani jest Jankeską? - spytał żartobliwie

Zaśmiała się tak pięknie i zmysłowo, że od razu pomyślał o chłodnych, gładkich prześcieradłach i jej ciepłej, miękkiej skórze.

- Przyjechałam z Waszyngtonu. To znaczy, mieszkam tam teraz.

Pochodzę z Ohio, przez kilka lat byłam w Nowym Jorku.

- New York City- spytał z przesadą w głosie. - I co, podobało się tam pani?

- Przez jakiś czas - odparła, wzruszając ramionami.

- To tak samo, jak mnie w Kalifornii. Musiałem wiele przejść, żeby zrozumieć, że dla mnie jedynym miejscem pod słońcem jest Teksas.

Weszli do sklepu, gdzie Kyle usadził Irish przy jednym ze stołów.

- Sprawdzę tylko, czego potrzebuje dziadek, i za parę minut wracam zjedzeniem.

Obserwowała go, jak się oddalał a potem wchodził po schodach na piętro. Boże, co za facet. Kuszący jak grzech. Jeszcze nie spotkała nikogo, kto emanowałby takim seksapilem. A nawet z tej krótkiej rozmowy domyślała się, że jest wesoły i zabawny.

Westchnęła, rozglądając się po dusznym, zagraconym wnętrzu. Prawdopodobnie uosabia on wszystko, czego kobieta mogłaby pragnąć.

Oprócz pieniędzy.

Mamo, jak to jest? Jeśli tak samo łatwo jest zakochać się w bogatym mężczyźnie, jak w biednym, to dlaczego mnie zawsze spodoba się taki, który ma płótno w kieszeni?

Co za pech, że natknęła się na Kyle'a Rutledge'a właśnie teraz. Ale spokojnie, nie pozwoli sobie na zejście z raz obranej drogi. W końcu poczyniła nie lada przygotowania i zaangażowała wszystkie posiadane środki finansowe. Musi znaleźć sobie milionera.

Zaś co do Jacksona Crowa... Nawet jeśli ma jakąś jedną czy dwie wady - no cóż, nikt nie jest doskonały.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Pot wystąpił jej na twarzy, ale dzielnie próbowała przełknąć kolejną łyżkę i chili. W końcu to darmowy poczęstunek, a kiedy ma się całego majątku niespełna dwadzieścia dolarów, to nie można sobie pozwolić na grymasy.

- Zbyt pikantne? - Spytał Kyle.

- Nie, nie. Bardzo dolne odparła i jednym haustem wypła pół szklanki mrożonej herbaty. Język i przewód pokarmowy miała jak poparzone żywym ogniem, ale zmusiła się do przełknięcia następnego kęsa.

Łzy napłynęły jej do oczu. Niemal krztusząc się, wypła resztę napoju, wytrząsnęła ze szklanki kostkę lodu i zaczęła ssać ją skwapliwie. Rzuciła okiem na Kyle'a i zobaczyła, że patrzy na nią, marszcząc brwi.

- Proszę się nie zmuszać - powiedział, to jest dla pani za ostre.

Bardzo przepraszam. Dziadek Pete lubi takie potrawy, a ja z biegiem lat przyzwyczailem się. Może woli pani kanapkę? Potrafię zrobić zupełnie przeciętną kanapkę z kielbasą.

Roześmiała się, zadowolona, że już nie będzie musiała dokończyć tego chili. Wszystko, byle tylko nie to.

- Uwielbiam kanapki z kielbasą.

- Z musztardą czy majonezem?

- Z musztardą.

- Jedną chwileczkę.

Wziął chleb i musztardę, a następnie pokroił grubą kielbasę na elektrycznej maszynie do krojenia. Po chwili wrócił ze smakowicie wyglądającymi kanapkami i torebką chipsów na dokładkę.

- Dziękuję - powiedziała. - Wyglądają wspaniale.

- Zakład życzmy smacznego. Tak naprawdę, to ze mnie żaden kucharz. Zwykle kanapki, zupę i wszystko inne robi Alma Jane, ale rozchorowała się po zatruciu bluszczem. Mam ogromną nadzieję, że już jutro wróci.

- Ja też nie umiem gotować - odparła Irish. - Nawet nie wiem, jak się u nas w domu włącza kuchenkę. Gotowaniem zawsze zajmuje się Olivia.

- Kto to jest Olivia?

- Jedna z moich współlokatorek w Waszyngtonie.

- Jedna? - spytał, dolewając jej herbaty.

- Tak.

Potem, pomiędzy jednym a drugim kęsem, opowiedziała mu pokrótce o tym, jak wygląda ich wspólne życie.

- Od dawna pracujesz jako reporterka? - spytał Kyle, kiedy już przeszli na „ty”.

- Reporterka? Nie jestem żadną reporterką. Skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł?

- Sama mówiłaś, że piszesz artykuł o Jacksonie i jego kumplach, pomyślałem więc, że robisz to dla jakiejś gazety.

- Boże, nie. Piszę artykuł dla „Esprit”.

- Tego magazynu? Pracujesz dla nich? Myślałem, że ktoś z takim wyglądem raczej jest u nich modelką niż autorką tekstów.

- Bardzo ci dziękuję. Rzeczywiście przedtem byłam modelką - odparła, uśmiechając się wdzięcznie. - Ale nie jestem tam zatrudniona, to tylko taka praca z doskoku.

- Mogę? - Spytał Kyle, wskazując na jej nie dokończone chili.

- Oczywiście,

Widocznie on miał przewód pokarmowy ze stali. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak po zjedzeniu porcji czegoś takiego można jeszcze sięgnąć po drugą.

- Uwielbiam to- stwierdził Kyle z zadowoleniem. - Już dawno nie jadłem takiego dobrego chili. Dziadek Pete gotuje to w blaszanej rynience na otwartym ogniu, a potem zamraża w foremkach. Dlaczego już nie jesteś modelką?

Raptowna zmiana tematu wytrąciła ją z równowagi. Na moment wróciła myślą do przeszłości. Zanim udzieliła jednej ze sztamkowych odpowiedzi, minęła dobra chwila.

- Zrobiłam się za stara

- Bzdury. Wyglądasz wspaniale i jesteś przecież młoda.

- Mam prawie trzydzieści lat

- Czyli jesteś niemal dzieckiem - odparł Kayle ze śmiechem.

- W dzisiejszych czasach modelką zostaje się w coraz młodszym wieku. Poza tym, ja... byłam zmęczona tą pracą i w ogóle Nowym Jorkiem.

- To akurat rozumiem. Weźmy choćby ilość przestępstw kryminalnych: w wielkich miastach to przechodzi już wszelkie wyobrażenie. A na przykład u nas najpoważniejsza zbrodnia ostatnimi czasy zdarzyła się, kiedy Newt Irwin upił się i... Irish?

- Słucham? - spytała i zrobiła ruch, jakby się z czegoś otrząsała.

- Wyglądasz, jakby coś cię zdenerwowało. Powiedziałem coś nie tak? Dotknąłem jakiegoś wrażliwego miejsca?

- Nie, wcale nie - odparła pośpiesznie, chociaż Kyle trafnie odgadł jej nastrój. - Mówiłeś, że jakiś Luke...?

- Nie Luke, tylko Newt. Upił się i ukradł kozę Henry'emu McKenzie.

- A po co mu była koza?

- Chciał sobie zrobić barbecue. Ale rano jego mama znalazła kozę przywiązaną przed domem, jak spokojnie zjadała jej najpiękniejsze bratki. Zadzwoiła więc po policję. Kozą została zwrócona Henry'emu, a Newt trafił na trzy dni do aresztu.

- Dziwię się, że Henry wniósł skargę. Przecież dostał kozę z powrotem.

- To nie Henry wniósł skargę, tylko mama Newta. Zawsze była dumna ze swoich bratków.

- Ciekawe postacie tu mieszkają - stwierdziła ze śmiechem.

Powietrze przeszył odgłos strzału dochodzący gdzieś z piętra, a Irish podskoczyła ze strachu.

- To prawda - zgodził się Kyle. - Jedna z nich jest tam na górze. Dziadek ma osiemdziesiąt cztery lata, ale wciąż jest uparty jak kozioł. Zaraz wrócę, a ty tymczasem wybierz coś na deser.

Irish stała przy gablotce z batonikami, kiedy usłyszała, że przed sklepem zatrzymuje się samochód. Wysiadła z niego niemłoda para w jaskrawych dresach. Mężczyzna był łysy i otyły, zaś jego żona chuda i ze źle zrobioną trwałą ondulacją. Na palcach miała całą masę pierścionków.

- Zobacz, Edgar, jakie to urocze miejsce – szczebiotała wchodząc. -
Jedziemy nad Zatokę Meksykańską, ale postanowiliśmy zboczyć w te
malownicze okolice - wyjaśniła na widok Irish. - Tak się cieszę, że to
zrobiliśmy. Tu jest naprawdę pięknie, prawda, Edgar? Chcieliśmy kupić
coś do jedzenia i... Edgar! Popatrz tylko. Indianie wyrzeźbieni w drewnie i
to naturalnej wielkości. Czy taka postać nie wyglądałaby zachwycająco
przy naszym basenie? Zobaczmy, jaka cena... O, toż to rozbój.

- Aha - mruknął Edgar, rozglądając się wśród krakersów i innych
przekąsek

Ponieważ Kyle'a nie było wciąż widać, Irish uzbroiła się w
promienny uśmiech i od razu weszła w ton zawodowej sprzedawczyni.

- Wspaniale rzeźby, nieprawdaż? Artysta, który je tworzy, jest
naprawdę utalentowany. Czy widzieli państwo zwierzęta - tam, na
zewnątrz? Orły są piękne, no i ten niedźwiedź. Koniecznie trzeba go
zobaczyć. Właśnie dziś został ukończony - prawdziwe arcydzieło, Nie
można przejść obok niego obojętnie. Nazwaliśmy go Vince. Proszę za
mną, wszystko państwu pokażę.

Kiedy Kyle wreszcie mógł zejść na dół, zastał Irish stojącą w
drzwiach i machającą na pożegnanie jakimś ludziom, odjeżdżającym
samochodem.

- Przepraszam, że to tyle trwało, ale dziadek czuł się trochę
niedopieczony. Co to za jedni?

- Corrie i Edgar.

- Pytali o drogę do Dallas?

- Nie, chcieli coś do zjedzenia. Sprzedałam im napoje w kartonach,
dwa pudełka krakersów, trzy puszki orzeszków, dwa opakowania galaretek,

dwa małe ciasta orzechowe, dwóch naturalnej wielkości Indian, orła i Vince'a. Zapłacili czekiem podróżnym i wydałam im resztę z kasy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Przeciwno czemu? Przez pół godziny sprzedałaś więcej niż mnie udaje się w tydzień. Naprawdę kupili Vince'a?

- Tak.

- Ale on nie ma ucha.

- Przez to jest bardziej oryginalny.

- Dałaś im chociaż jakiś rabat? - spytał, śmiejąc się i kręcąc głową w podziw.

- Jasne, że nie. Nie wiedziałam, ile kosztują niedźwiedzie, bo na żadnym nie było ceny, policzyłam więc o pięćdziesiąt dolarów więcej niż za Indianina.

- Żartujesz?

- Skądże. Nie martw się, stać ich na to. Corrie już nie może się doczekać, kiedy ustawi to wszystko przy swoim nowym basenie. Będzie teraz miała jeszcze jeden powód, żeby urządzić przyjęcie, jak tylko wróca do domu. Te rzeźby będą znakomitym tematem do konwersacji, zwłaszcza że opowiedziałam jej dokładnie, w jaki sposób zostały zrobione.

- A skąd tak „dokładnie” wiesz, jak się je robi? - spytał Kyle, wciąż nie mogąc przestać się śmiać.

- Wycina się piłą łańcuchową - odparła ze wzruszeniem ramion. - Pokazałam im twój warsztat pracy, a resztę zaimprovizowałam. Muszę ci powiedzieć, że Corrie była wniebowzięta.

- A Edgar?

- Edgar nie mówił zbyt wiele, ale jego z kolei zafascynował tamten grzechotnik w terrarium. Chciał go nawet kupić, ale jakoś wydawało mi się, wąż nie jest na sprzedaż. Zresztą i tak nie wiedziałam ile kosztuje ani czy został pozbawiony zębów jadowych.

- To dobrze że nie sprzedałaś Sama, bo Pete by się wściekł. Wąż i grotty strzał to zaczątki muzeum, które chce stworzyć. No i rzeczywiście wciąż ma swoje zęby jadowe.

Irish wzdrygnęła się.

- Jeszcze nie zdążyłam wziąć deseru. Jak myślisz, czy możemy otworzyć babeczki czekoladowe?

- Jasne.

Kyle był nią i coraz bardziej urzeczony. Nie chodziło tylko o jej urodę, ale i o sposób bycia- radosny, szczery, bez cienia afektacji. Była całkowitym przeciwieństwem Hollywood, od którego właśnie uciekał. To dziwne, że po latach pracy jako modelka zachowywała się tak naturalnie i otwarcie.

- Weź babeczki, a ja naleję kawy - powiedział. - Jaką lubisz?

- Poproszę o czarną.

- Zrobię rozpuszczalną, dobrze? Ta z dzbanka pewnie już smakuje jak błoto.

Za chwilę znów siedzieli przy stoliku i w milczeniu zajadali babeczki. Irish oblizwała palce i westchnęła.

- Uwielbiam słodyczne, a przez tyle lat musiałam sobie ich odmawiać. Od czasu kiedy wyjechałam z, Nowego Jorku, przytyłam prawie osiem kilo.

- Wcale tego nie widać. Według mnie jesteś bardzo szczupła.

- Dziękuję. Chcesz jeszcze babeczkę?

- Pewnie.

Podawała mu ciastko, a sama przełknęła drugie w dwóch kęsach. Potem znów oblizwała palce, ujęła kubek z kawą w obie dłonie, jakby chciała je ogrzać, i upiła łyk. Siedziała tak ze spojrzeniem utkwionym gdzieś ponad jego ramieniem, a pomiędzy brwiami pojawiła jej się zmarszczka.

- Jakiś problem? - spytał.

- Tak i to duży. Nie mogę wrócić do Waszyngtonu, dopóki nie... przeprowadzę wywiadu z Jacksonem Crowem. Jeśli on nie wróci do poniedziałku, to ja nie mam gdzie się zatrzymać. Miałam być gościem w Crow's Nest. - Zawahała się na moment. - Czy te... wigwamy nadają się do mieszkania?

- No cóż, jest tam czysta pościel i ręczniki, nie przeciekają, gdyby zaczęło padać, ale nie sądzę, żebyś była przyzwyczajona do takich warunków. Są raczej spartańskie. Wydaje mi się, że byłoby ci wygodniej, gdybyś pojechała do Jacksonville albo Tyler i zamieszkała w czymś bardziej komfortowym.

- Nie mogę. Widzisz... ja... tak się złożyło, że nie mam prawie żadnych pieniędzy. Miałam nadzieję, że przenocowanie w takim namiocie nie kosztuje zbyt wiele.

- W namiocie? Eee... nie, oczywiście, że nie kosztuje dużo. - Kyle nagle przestraszył się, że ona odjedzie. - To jest naprawdę tanie. A zresztą twoja prowizja od tego, co sprzedałaś Corrie i Edgarowi, wynosi więcej niż mieszkanie w namiocie i wyżywienie aż do powrotu Jacksona.

- Prowizja? - patrzyła na niego zdziwiona.

- Jasne. A gdybyś potrzebowała trochę gotówki, to potrzebna jest pomoc w sklepie na dzień lub dwa, zanim Alma Jane wyzdrowieje.

- Pomoc? To znaczy do czego?

- Żeby zająć się sklepem przez ten czas, kiedy ja będę wycinał następne figury z drewna. Albo może wolałabyś poczytać trochę pewnemu krewkiemu staruszkowi? Pete zawsze uwielbiał czytać, ale od jakiegoś czasu oczy płatają mu figle. To nie jest zbyt dobrze płatne zajęcie, ale...

- Biorę. Ale tylko do powrotu Jacksona, jasne?

- Jasne. Umowa stoi- Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Zaczął zastanawiać się, czy udałoby mu się namówić Jacksona, żeby został w Dallas parę dni dłużej.

- Wspaniale, Irish też promieniała zadowoleniem. - Jeśli dasz mi klucze, to zaniosę swoje rzeczy.

Podjechała samochodem pod domek z numerem drugim i wyjęła bagaż. Potem otworzyła drzwi i ostrożnie zajrzała do środka.

Kyle miał rację. Wnętrze, było prymitywnie. Większość „mebli” została wykonana z wiązek gałęzi i patyków. Na łóżku leżał indiański pled - wypłowiały, ale wyglądający czysto. Toaletka pamiętała czasy drugiej | wojny światowej, zaś na ścianie wisiały na gwoździach dwa oleodruki w ramach z surowego drewna. Jeden przedstawiał indiańskiego wodza w pióropuszu, a drugi nakrapianego konia na czerwonej pustyni. W kącie stał fotel na biegunach, którego siedzisko zrobione było z krowiej skóry, wybawionej razem z sierścią.

Irish westchnęła i wtaszczyła swoje rzeczy, sprawdziła prześcieradła, łóżko, a na koniec zamki w drzwiach.

Prześcieradła okazały się świeżo wykrochmalone i pachnące, materac w łóżku nadspodziewanie sprężysty i wygodny. Armatura w łazience była stara, ale działała bez zarzutu i - co najważniejsze - zamki wyglądały na solidne. Widać było, że nie jest to hotel trzygwiazdkowy, ale za taką cenę trudno byłoby oczekiwać więcej.

Rozwiesiła ubrania, wypakowała inne drobiazgi, a potem przebrała się w dżinsy, biały podkoszulek i sztruksową koszulę. Włożyła sportowe buty, które wydawały się rajem dla stóp umęczonych wysokimi obcasami. Pośpiesznie poprawiła włosy i makijaż i już była gotowa na spotkanie z Pete'em Cherokee.

Ze stodoły znów dochodził odgłos pracy piły łańcuchowej, więc domyśliła się, że Kyle wyrzyna kolejnego niedźwiedzia czy ptaka. Weszła do sklepu i po chwili wahania cicho skierowała się na górę. Być może starszy pan akurat spał, więc nie chciała go budzić.

Szła kierowana dźwiękiem telewizora. Na ścianie korytarza wisiała znakomita kopia obrazu Remingtona. Irish zajrzała do najbliższego pomieszczenia i ujrzała coś, co było chyba biblioteką. Był tam duży, kamienny kominek, obok którego stały skórzane klubowe fotele. Nad kominkiem wisiała kolejna kopia Remingtona, a na gzymsie stały różne naczynia, chyba pochodzące z południowego zachodu. Stolik do kawy zrobiony był z pnia jakiegoś ogromnego drzewa. Stała na nim figurka przedstawiająca postać mężczyzny w bryczesach -o wiele staranniej wykonana niż te na dole, w sklepie - a także kolejne naczynia. Dzięki licznym fotelom i kanapom pokój miał raczej charakter sali klubowej i nie pasował do tego zagraconego sklepu na dole.

Ściany pokrywały drewniane regały pełne książek. Irish zobaczyła, że na końcu pokoju znajduje się coś w rodzaju alkowy z oknem. Stało tam szpitalne łóżko, z którego przyglądała jej się badawczo para ciemnych oczu.

- Dzień dobry powiedziała uśmiechając się. - Nazywam się Irish Ellison. Mogę wejść?

- Z tego co widzę, już pani weszła. Proszę podejść bliżej, żebym mógł się pani przyjrzeć. Te stare oczy nie są już takie, jak kiedyś. Powiedziałaś, „Irish” moja droga? Nie słyszałem, żeby ktoś miał tak na imię, chyba że to przyzwisko?

- Nie, to moje prawdziwe imię. Mama pochodzi z Irlandii, no i zawsze miała romantyczne usposobienie - odparła, podchodząc do łóżka.

Mężczyzna przypominał jej Willie'ego Nelsona, tylko starszego i bardziej zylastego. Włosy na czubku głowy miał już przerzedzone, ale po bokach zwisały zaplecione w dwa siwe, długie warkocze. Ciemne oczy błyszczały żywotnością i Irish gotowa była się założyć, że nie przegapią niczego.

Wziął do ręki pilota od telewizora i wyłączył dźwięk.

- Nazywam się Pete Beainon, ale wszyscy mówią na mnie Pete Cherokee. Zawsze mnie tak nazywali, od kiedy pamiętam. Po matce jestem pół-Cherokee. Moja żona była Irlandką. Piękna kobieta, tak jak ty. Miała miodowozłote włosy i błękitne oczy. W listopadzie będzie czterdzieści trzy lata, jak nie żyje. Była nauczycielką i nauczyła mnie czytać, kiedy byłem już dorosły. Wtedy też zaczęliśmy kompletować ten księgozbiór, ponad pięćdziesiąt lat temu. Chodź, usiądź tutaj - dodał,

pokazując krzesło stojące przy łóżku. - Powiedz, co taka piękna dziewczyna porabia w tych stronach

- Nie chciałam panu przerywać oglądania zaczęła Irish i urwała, spojrzawszy na ekran telewizora.

Nie był to wcale telewizor, a sześć dużych, zamontowanych w ścianie ekranów. Dwa były wyłączone, dwa ukazywały wnętrze sklepu, zaś na dwóch pozostałych widać było okolicę.

- Ale to przecież...

- Obserwacja terenu. Te stare oczy muszą przecież mieć pomoc.

Macie się ku sobie z moim wnukiem?

- On... on jest bardzo przystojny, ale nie jestem zainteresowana.

Pete Cherokee zaśmiał się krótko.

- Ja tam widziałem co innego. Podobasz mi się, Irish. Wystarczy mi jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, z kim mam do czynienia. Wiesz co? Jeśli wyjdiesz za mojego wnuka, dostaniesz ode mnie milion dolarów.

ROZDZIAŁ TRZECI

Irish roześmiała się z tego żartu.

- Niech mnie pan nie kusi. Pewnie chce pan siego pozbyć wreszcie z domu, co?

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę miał prawnuki, zanim uderzę w kalendarz. Żaden z moich wnuków jeszcze się nie ożenił. Przecież to nie jest normalne. Kyle powiedział, że będziesz mi trochę czytała

- Jeśli ma pan ochotę,

- No pewnie, że mam. Jestem stary, ale to nie znaczy, że nie potrafię cieszyć się towarzystwem pięknej młodej damy.

- Co chciałby pan, żebym poczytała?

Pete podniósł książkę, która leżała przy nim na łóżku.

- Jestem ciekawy zakończenia. Zostało mi niedużo, ale wzrok odmówił mi posłuszeństwa. Potrzebuję silniejszych szkieł, tyle że teraz trudno mi dostać się do okulisty. Kyle obiecał, że zawiezie mnie za tydzień czy dwa.

- O, to najnowsza książka Johna Grishama powiedziała Irish, patrząc na okładkę. - Lubi go pan?

- Kiedy jestem akurat w odpowiednim nastroju. Tak w ogóle, to czytam wszystko - od kryminałów po filozofię. Wnuki wiedzą o tym i zawsze przywożają mi mnóstwo książek na Boże Narodzenie i inne takie okazje

Otworzyła książkę w miejscu zaznaczonym skórzaną zakładką i zabrała się do czytania kilku ostatnich rozdziałów.

Kyle stał w drzwiach i słuchał głosu Irish, kiedy czytała dziadkowi. Jeszcze nigdy John Grisham nie wydał mu się tak ciekawy. A właściwie podniecający.

Nie zwracał szczególnej uwagi na słowa, tylko na ton głosu, jakim czytała poszczególne zdania. Kiedy następował dialog, lekko zmieniała głos dla podkreślenia charakteru postaci, a potem wracała do wolnej, spokojnej narracji. Wreszcie przestała czytać.

- Koniec - powiedziała.

- Tak, milion dolarów! - zakrzyknął dziadek Pete. - Albo nie, niech będą dwa.

Irish zaśmiała się, a Kyle postanowił interweniować, zanim dziadek zacznie wypisywać czek. Pete bywał bardzo szczodry wobec osób, które przypadły mu do gustu.

- Widzę, że dobrze wam idzie - odezwał się Kyle.

- Ona jest świetna - powiedział Pete. - Przeczytała to jak najlepsza aktorka z Nowego Jorku.

- Słyszałem, naprawdę byłaś dobra. Myślałaś kiedykolwiek o aktorstwie?

- Dawno temu. Nawet zaczęłam odpowiednie studia, ale przerwałam je, kiedy zostałam modelką.

- Modelką? - zdziwił się Pete. - Kyle powiedział, że piszesz.

- Zgadza się. Już nie pracuję jako modelka.

- Czy twoje zdjęcia były w magazynach, tak jak Cindy Crawford albo tej drugiej, Claudii jakoś tam, tej z Europy?

- Tak, ale ja nie byłam taka sławna jak one. Skąd pan wie o Cindy czy Claudii?

- Mówiłem ci, że czytam wszystko - odparł starszy pan, mrugając do niej porozumiewawczo. - Czasami nawet biorę do ręki pisma dla kobiet. Teraz, kiedy o tym myślę, jestem coraz bardziej przekonany, że musiałem tam widywać twoje fotografie.

- Od paru lat już nie. Chce pan zacząć teraz jakąś inną książkę?

- Jeszcze nie teraz chyba się zdrzemnę albo obejrzę Oprah. A wy może przez ten czas lepiej się zaznajomicie. - Znów puścił oko do Irsh, - Wiesz, co mam na myśli.

- Niech pan na to nie liczy - odpowiedziała ze śmiechem.

- O co chodziło dziadkowi? - spytał Kyle, kiedy już schodzili po schodach. - Chyba nic robił ci jakichś nieprzyzwoitych propozycji?

- Nie, tak tylko żartowaliśmy. Jak mogłabym brać go na serio, przecież zdaję sobie sprawę, że dochody z tego sklepu plus nawet comiesięczną emerytura nie zrobią z niego milionera. Chociaż jest bardzo miły i w innej sytuacji może rozważyłabym jego ofertę.

- Tak? - Kyle o mało nie potknął się, słysząc ostatnie słowa.

- Przecież kobiety musiały już ci mówić, jaki jesteś przystojny - odparła z uśmiechem. — Gdybyś miał jeszcze do tego ze dwa miliony, nikt nie byłby w stanie ci się oprzeć.

- Tak ważne są dla ciebie pieniądze?

- Tak, mój ulubiony kolor to zielony. I jak powiedziałam, chociaż z wielu względów możesz się podobać, dla mnie jesteś nietykalny. Nie obraż się, ale postanowiłam bogato wyjść za mąż.

- Tak po prostu? - spytał Kyle, zaskoczony.

- Właśnie.

- A miłość?

- Och, nie chodzi tylko i wyłącznie o pieniądze. Potrzeba mi mężczyzny, którego także będę mogła kochać. Kiedy można spać spokojnie bez obawy o swoje bezpieczeństwo, wtedy także następuje przypływ uczuć.

Mówiła tonem lekkim i żartobliwym, ale Kyle wyczuwał jakiś podtekst. Co sprawiało, że bała się w nocy? Zastanawiał się, czy to ma coś wspólnego z bliznami na jej lewym policzku. Delikatne linie były niemal niewidoczne, zatuszowane umiejętnym makijażem i tylko jego profesjonalne oko mogło odkryć je z bliskiej odległości. Chciał dowiedzieć się więcej, ale uznał, że jeszcze nie czas na to.

- No, to powodzenia - powiedział. - Mam prośbę, czy możesz przez chwilę popilnować sklepu? Muszę coś ustalić z dziadkiem.

- Oczywiście.

Kyle pośpiesznie wrócił na górę.

- Co ty tu robisz? - powitał go Pete. - Powinieneś być na dole i zalecać się do Irish. Bardzo ją polubiłem. Z niej to byłaby dobra żona. I jakie mielibyście ładne dzieci...

- Czy ty przypadkiem nie narzucasz zbyt dużego tempa?

- Wcale nie. Od razu wiedziałem, że twoja babka to kobieta akurat dla mnie.

- No cóż, ze mną jest inaczej - odparł Kyle. - Potrzebuję trochę więcej czasu. Poza tym, jest jeszcze coś.

- Co takiego?

Kyle westchnął ciężko i usiadł przy łóżku.

- Wygląda na to, że Irish chce wyjść za mąż za kogoś bogatego.

- W takim razie jesteś w dobrej sytuacji - powiedział Pete ze śmiechem. - Ile milionów zarobiłeś oprócz tych dziesięciu, które ci dałem?

- Nie o to chodzi. Widzisz, Irish mi się podoba, ale nie chcę kogoś, kto patrząc na mnie widzi tylko dolary.

- Rozumiem - odparł Pete przytakując. - Co więc zamierzasz robić? Będziesz ją okłamywał?

- Nie, A właściwie tak. Cholera, sam nie wiem. Ale jeśli ona się dowie, że jesteś bogaty albo że ja jestem bogaty, albo że...

- Jesteś chirurgiem plastycznym - dokończył Pete.

- Właśnie. A także, że Jackson jest twoim wnukiem i moim kuzynem...

- Co to ma do rzeczy?

- Bo chcę zobaczyć, czy uda mi się zatrzymać w Dallas jego i tę całą ferajnę jeszcze dzień czy dwa dłużej. Wolę, żeby oni i ich pieniądze nie skusiły Irish, zanim zdołam wzbudzić w niej nieco uczucia.

- A czy ona nie zacznie czegoś podejrzewać, kiedy zobaczy szyby naftowe?

- Jeśli napomknie coś o tym, powiem jej, że należą do Jacksona albo coś w tym rodzaju. Skąd miałyby wiedzieć, że to wszystko twoja ziemia? No to co, będziesz razem ze mną w konspiracji?

- Nie puszcze pary z ust. Jeśli o mnie chodzi, to możesz być leniwym, niedorozwiniętym gamoniem, a ja starcem o krok od przytułku.

- Nie musisz posuwać się aż tak daleko.

- Czuję, że już trochę polubiłeś naszą Irish i to nie daje ci spokoju powiedział Pete, mrugając porozumiewawczo.

- Przyznam, że bardzo mnie zaciekała.

A tam, zaciekała od razu krew zaczęła ci szybciej krążyć. Nie jestem aż taki stary, żeby tego nie pamiętać. Sprawdź tylko tę pieczeń, którą włożyłeś do piekarnika, a potem idź na dół i zacznij ją emablować.

Kyle zdecydował, że to jedyne wyjście.

Resztę popołudnia sadził z Irish w sklepie, czekając na klientów i rozmawiając o czym się da - od ulubionych kolorów do polityki. Okazało się, że pomijając fakt, iż on woli niebieski, a ona zielony, mają ze sobą wiele wspólnego. Zresztą, im dłużej spoglądał w jej piękne, szmaragdowozielone oczy, tym bardziej był skłonny zweryfikować swoją opinię w kwestii niebieskiego. Zielony to rzeczywiście zachwycający kolor.

Kiedy nadeszła pora kolacji, poszli oboje na górę. Kyle sprawdził pieczeń, wbijając w nią widelce, a potem zrobił tak samo z jarzynami i ziemniakami.

- Wydaje mi się, że gotowe. A ty jak sądzisz?
- Nie jestem specjalistką, ale też tak mi się wydaje.
- Masz ochotę na sałatę?
- Jasne. Pomogę ci.

Oboje pokroili jarzyny, a potem Irish zaniósła Pete'owi jedzenie na tacy. W tym czasie Kyle przygotował stół w kuchni. Postawił na środku świecę, po czym uznał, że chyba posuwa się odrobinę za daleko, zaczął grzebać w szafkach i kredensie, aż znalazł duży pojemnik z tanim czerwonym winem i butelkę dobrego chardonnay. Włożył chardonnay do lodówki i otworzył to drugie wino. Rozejrzał się za kieliszkami i uśmiechnął się na widok kryształowego kompletu, jaki podarował dziadkowi na ostatnie urodziny. Nalał trochę i spróbował.

- Zupełnie niezłe, zwłaszcza za taką cenę - powiedział do Irish, która właśnie nadeszła. - Dziadek nigdy nie był znawcą win. Jak myślisz, nada się?

- Oczywiście, ja nie mam specjalnych wymagań. Szczerze mówiąc, czasami to, co miało być jakimś szczególnie wyszukany trunkiem, dla mnie raczej zajeżdżało apteką.

Po kolacji wspólnie sprzątnęli kuchnię i zostawili Pete'a oglądającego w telewizji film z Johnem Wayne'em.

- Chyba pójdę już do mojego namiotu - powiedziała Irish. - Dziękuję za kolację.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Może chcesz się trochę przejść?
- Chętnie.

Na dworze wciąż było ciepło, chociaż był już początek października. W powietrzu unosił się świeży zapach sosen i skoszonej trawy. Powoli zapadała ciemność. Ciszę zakłócało jedynie cykanie świerszczy. Irish zauważyła już wcześniej, że wszystkie drzewa były zielone i nie widziało się żadnych oznak jesieni.

- Kiedy tutaj zaczynają się chłody? Liście jeszcze nie zmieniają koloru - powiedziała ze zdziwieniem

- Zależy, co rozumiesz przez „chłody”. Teraz temperatura może opaść o parę stopni i znowu podnieść się za dzień lub dwa. Rzadko zdarza się, żeby przymrozki były wcześniej niż w listopadzie, czasami nawet później. Poza tym, jako że mamy tu dużo sosen, jesień nie wygląda u nas tak jak na przykład w Nowej Anglii. Tylko nieliczne gatunki zmieniają kolor - gumowce, niektóre wiązy i dęby. Inne pozostają zielone aż do

mrozów. Potem stają się brązowe, w grudniu liście opadają, a w marcu na nowo zaczynają się zielenić.

W pobliżu sklepu świeciły się wysokie latarnie, ale poza ich zasięgiem panowały już ciemności. Podeszli do stodoły.

- Widzę, że zacząłeś nowego niedźwiedzia - zauważyła Irish, zaglądając do środka.

Wewnątrz było mroczno, duszno, pachniało świeżym drewnem i trocinami. Dotknęła ucha rzeźby.

- Czułam się tak okropnie, gdy przeze mnie popsułeś tamtego niedźwiedzia. Przeszło mi dopiero wtedy, gdy Corrie go kupiła.

- Niepotrzebnie tak się przejmowałaś, przecież to był wypadek.

- Czy tym się zajmowałaś w Kalifornii? Rzeźbieniem?

- Nie. Eee... to znaczy... innym rodzajem rzeźby.

- Jakim? Może w glinie?

Kyle udzielał wciąż wymijających odpowiedzi i wreszcie Irish domyśliła się, że nie ma ochoty rozmawiać o czasach, kiedy mieszkał na Zachodnim Wybrzeżu. Rozumiała to świetnie, gdyż sama niechętnie opowiadała o ostatnich latach spędzonych w Nowym Jorku.

Podszedł do niej i nagle wewnątrz zrobiło się ciasne, a zapach drewna bardziej intensywny. Wyciągnął rękę i dotknął ucha niedźwiedzia. Ich palce nieomal się zetknęły. Coraz mocniej czuła jego obecność, która zdawała się wypełniać całą przestrzeń. W przyływie paniki chciała się wycofać, ale nagle okazało się, że jest uwięziona między Kyle'em a niedźwiedziem.

Kyle tymczasem zawahał się na moment, a potem pochylił się do niej.

- Czy mogę cię pocałować? - spytał, zbliżając się coraz bardziej.

Serce zaczęło łomotać, na skórze poczuła mrowienie. Jakaś jej część chciała krzyknąć „tak”, ale rozsądek sprzeciwiał się. Stali przez chwilę, która wydawała się wiecznością. Nic nie mówiła, nie potrafili wykrztusić żadnego słowa. Kolana jej się trzęsły, a uszy paliły,

„Nie rób tego”, przestrzegł zimny rozsądek. „Nie zważaj na nic”, namawiały zmysły.

„Tak” już wygrywało. Irish zwilżyła językiem wargi i wysunęła usta w jego stronę, kiedy powietrze rozdarł wystrzał z pistoletu.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

O świcie obudził ją hałas. Najpierw tuż przy jej drzwiach rozległ się klakson samochodowy, a potem coś uderzyło w ścianę tak mocno, że o mało nie pospadały obrazy. Co do...

Irish usiadła na łóżku. Znów usłyszała klakson, potem głośnie okrzyki i trzaskanie drzwi samochodu. Szybko podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Przez chwilę myślała, że to przyjechał obóz cygański. Wszędzie namioty, niebieskie baldachimy i długie stoły, poustawiane pod drzewami. Na terenie obok sklepu zaparkowało ponad trzydzieści ciężarówek i samochodów z przyczepami. Ludzie wyjmowali z nich przeróżne rzeczy - od mebli po jarzyny.

Obok swojego domku zobaczyła drewnianą przyczepę z reklamą rożków, prażonej kukurydzy i cukrowej waty. Jakiś mężczyzna usiłował okrzykami i machaniem rąk naprowadzać kierowcę pikapa, żeby ustawił przyczepę. Ten szarpnął do przodu, a potem starał się wycofać. Przyczepa znów uderzyła w ścianę namiotu.

Irish podbiegła do drzwi, odsunęła skrzynię, którą wieczorem zastawiła wejście, i przekreśliła klucz w zamku.

- Co pan robi?! - wrzasnęła. Chce pan zdemolować mój domek?

Dyrygujący manewrami mężczyzna spojrzał na nią, a następnie zdjął swój kowbojski kapelusz.

- Bardzo panią przepraszam. Jasonowi jakoś nie wychodzi.

- Co nie wychodzi?

- Ustawienie tego, tak jak trzeba.

Drzwi pikapa tymczasem otworzyły się i wyjrzał stamtąd zdeprimowany chłopiec najwyżej czternastoletni, o ognście rudych włosach.

- Tatusiu, ja nie potrafię.

- Musisz. Wiesz przecież, że nie ma mamy, żeby to za ciebie zrobiła.

- Ale, tatusiu...

- Zamknij się i do roboty, bo inaczej wezmę pasa.

- Niech się pan nie waży zaprotestowała Irish, podbiegając do samochodu. - Odzie to ma stanąć? Tutaj? Dobrze, ruszaj, Jason, ja ci pomogę.

Wspięła się na próg samochodu i bardzo spokojnie kierowała chłopcem, aż ten powoli wprowadził przyczepę na właściwe miejsce.

- No proszę - powiedziała z dumą. - Stoi idealnie.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wszyscy przerwali swoje zajęcia i obserwowali całą tę scenę. Poniewczasie dotarło do niej, że jest boso i ma na sobie jedynie krótką i mocno prześwitującą koszulkę nocną. Nie zbiło jej to z tropu. W końcu zdarzało jej się pozować do zdjęć mając jeszcze skromniejszą garderobę. Dumnie odmaszerowała z powrotem do namiotu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Spojrzała na zegarek i aż jęknęła. Kto wstaje o tak nieprzyzwoitej godzinie? Miała ochotę wskoczyć z powrotem do łóżka, ale uznała, że próby ponownego zaśnięcia zakończą się niepowodzeniem. Weszła pod prysznic, czując się okropnie niewyspana. Nie było w tym nic dziwnego, bo przez prawie godzinę przewracała się na łóżku, zanim udało jej się usnąć.

Wcale nie dlatego, że posłanie było niewygodne. To Kyle Rutledge... Nie potrafiła zrozumieć, jak się to stało, że udało mu się tak do niej zbliżyć. Przecież gdyby Pete w porę nie wystrzelił, już za moment zatopiliby się w gorącym pocałunku, a jedynie Bóg wie, co jeszcze mogłoby się stać...

Kyle stawał się dla niej zagrożeniem, za bardzo ją pociągał. Powtarzała sobie, że nie powinna się interesować kimś takim jak on. Nie jest przecież bogaty, a dla niej liczą się tylko milionerzy. Gdyby miała inne wyjście, natychmiast by stąd wyjechała, żeby nie wystawiać się na dalsze pokusy.

Ubrała się szybko w dzinsy i starą ulubioną bluzę, jak zwykle poświęciła trochę czasu na staranny makijaż i udała się na poszukiwanie czegoś do zjedzenia.

Sklep w środku przypominał mrowisko. Wszystkie miejsca siedzące zajęte były przez pijących kawę i jedzących bułki lub pączki. Pozostali klienci tłoczyli się, oglądając produkty. Kyle stał za ladą i uwijał się jak w ukropie.

- Wygląda na to, że przydałaby ci się jakaś pomoc - powiedziała podchodząc do niego

- Pewnie, że tak. Zapomniałem, że dziś jest trzecia sobota miesiąca. To dzień targowy i wszyscy w okolicy zjeżdżają się, żeby kupować, sprzedawać czy choćby spotkać się ze znajomymi i poplotkować.

- Co jest do zrobienia?

- Trzeba zaparzyć nową kawę, zająć się kupującymi, obsługiwać kasę, pokroić tuzin kurczaków...

- Tuzin?

- Może nawet więcej, sam nie wiem. Miały być dostarczone w kawałkach, ale zamiast tego przyjechały w całości. Dziadek zawsze przy takich okazjach podaje smażone kurczaki, pieczone ziemniaki i sałatkę. Alma Jane obiecała mimo choroby przyjść i zająć się smaženiem, ale najpierw trzeba je pokroić. Ja zaś, jeśli mam być szczery, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek ćwiartował to cholerstwo.

- To w takim razie ty zrób kawę, a ja zabiorę się do krojenia kurczaków.

- Będiesz potrafiła? Myślałem, że nie umiesz gotować.

- Bo nie umiem, ale mój ojciec jest rzeźnikiem. Po szkole i w soboty pomagałam w sklepie. Zdjęła z wieszaka fartuch i włożyła go. - Do tego potrzebny jest tylko ostry nóż i mocny żołądek. Gdzie są noże?

Między kolejnymi dzbankami kawy, zawijaniem ziemniaków w folię i obsługiwaniem klientów, Kyle obserwował Irish, która poczyniała sobie jak zawodowiec. Wrzucała do jednej miski białe mięso, do drugiej ciemne, a do trzeciej kawałki z kośćmi. Ilość kurczaków zmniejszała się zadziwiająco szybko.

- Co za tempo - powiedział.

- Też mnie to dziwi. Nie robiłam tego od lał, ale widocznie to tak jak z jazdą na rowerze. Po paru minutach wszystko robisz automatycznie. - Cisnęła ostatni kawałek do miski. - Gotowe. - Uśmiechając się podniosła nóż w górę gestem zwycięstwa.

- Jestem pod wrażeniem. Zwłaszcza jeśli chodzi o fachowy sposób trzymania noża. Nikomu nie radzę spotkać się z tobą w ciemnej uliczce - zażartował.

Irish przestała się uśmiechać. Zbladła i spojrzała na trzymany w ręce nóż, jakby zobaczyła grzechotnika, a potem rzuciła go na stół i wybiegła na dwór.

Kyle nie miał pojęcia, co ją tak zdenerwowało, ale widział, że naprawdę bardzo się przejęła. Zostawił wszystko i pobiegł za nią.

Znalazł Irish w samym kącie werandy. Siedziała tam, obejmując oburącz podtrzymujący dach słup i oddychając ciężko.

- Irish? Co się stało?

Potrząsnęła głową, odwróciła się i nadal dyszała z wysiłkiem.

- Daj mi jeszcze chwilę.

- Jesteś chora?

- Nic mi nie będzie - odparła, znów potrząsając głową. - Tylko zostaw mnie samą na moment.

- Nie zostawię cię w takim stanie.

- Proszę! Zostaw mnie, do cholery!

Najwyraźniej jego obecność jeszcze bardziej wyprowadzała ją z równowagi, nie miał więc innego wyjścia, jak odejść. Mimo wszystko jej zachowanie niepokoiło go. Może te kurczaki sprawiły, że zrobiło jej się niedobrze? Mówiła coś o tym, że trzeba mieć mocny żołądek. O cholera! Dlaczego pozwolił jej to robić? Czuł się okropnie, jak najgorszy łajdak.

Wrócił do sklepu, gdzie nie mógł dłużej przejmować się zachowaniem Irish, gdyż lada przeżywała prawdziwe obłączenie. Na szczęście pojawiła się wreszcie Alma Jane z całą misą sałatki. Kyle doznał niewyobrażalnej ulgi i miał ochotę serdecznie ucałować przybyłą - wysoką, kościstą kobietę, obsypaną posmarowanymi jakąś maścią pryszczami.

- Dzień dobry powiedziała.

- Witaj. Wiesz, Alma Jane, jeszcze nigdy nie byłem tak szczęśliwy, że cię widzę. To wspaniale, że mimo wszystko przyszedł.

Kobieta skwitowała komplementy krótkim skinieniem głowy.

- Kurczaki przygotowane?

- Tutaj, proszę.

Alma Jane włożyła gumowe rękawiczki i krytycznym wzrokiem przyjrzała się miskom z mięsem.

- Dobra robota stwierdziła.

- Całe uznanie należy się Irish - odparł Kyle.

- Co za Irish.

- O, właśnie idzie - powiedział spoglądając w stronę drzwi.

- Niezła.

- O, tak.

Irish była jeszcze trochę blada, ale już spokojna. Uśmiechała się uroczo, kiedy przedstawiał jej Almę Jane.

- Dobrze się czujesz? - spytał cicho.

- W porządku - odparła krótko, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie chce wracać do tamtego zdarzenia - Czy Pete dostał już śniadanie?

- Dobry Boże, zupełnie o nim zapomniałem, tyle tu było roboty.

Mam nadzieję, że nie wstał z łóżka,

- Zaniosę mu kawę i sprawdzę, czego potrzebuje.

Irish naląła dwa kubki kawy i ruszyła z mml na górę. Kyle patrzył w ślad za nią, wciąż jeszcze zaniepokojony jej stanem.

- Kyle, przestań marzyć o tej kobiecie i bierz się do roboty.

- Alma Jane, przecież wiesz, że nie myślę o żadnych kobietach z wyjątkiem ciebie.

O, widzieliście go, pochlebcę. Lepiej skończ zawijać ziemniaki, bo nigdy ich nic upieczemy.

- Jak pani każe.

Irish przygotowała jajecznicę oraz tosty dla Pete'a i dla siebie.

- Duży ruch dzisiaj? - spytał Pete, smarując grzanekę dżemem.

- Dla mnie duży, ale nie wiem, jak to u was zwykle wygląda. Alma Jane smaży kurczaki, a Kyle zajmuje się kasą. Chyba powinnam pójść im pomóc - dodała, przetykając ostatni kęs swojego śniadania. - A może pan woli, żebym została tu i coś poczytała?

- Nie, nie, idź. Dam znać, jak będę czegoś potrzebował - powiedział starszek chichocząc i poklepując leżący na nocnym stoliku pistolet.

- Nie lepszy byłby dzwonek?

- Nie. Nic słysząc go z dalszej odległości, a już zwłaszcza wtedy, kiedy Kyle włączy tę swoją piłę. A strzału nikt nie przeoczy.

- Może to i racja. No, to później przyniosę panu kurczaka. Wróciła na dół, gdzie rzeczywiście jej pomoc bardzo się przydała. Tylko na moment zajrzała na górę w porze lunchu, żeby zanieść starszemu panu coś do jedzenia. Potem jednak nie było już ani chwili czasu. Alma Jane czuła się na tyle źle, że poszła do domu, kiedy tylko skończyła smażyć kurczaki.

W dużym garnku na kuchni perkotała zupa na kościach kurczaków. Kyle i Irish bez wytchnienia nakładali jedzenie na tekturowe talerze, sprząтали stoły, przyjmowali zapłatę, sprzedawali pamiątki i odpowiadali na pytania. Kiedy późnym popołudniem tłum zaczął wreszcie się przerzedzać, oboje byli zupełnie wyczerpani

Kyle nalał do szklanek mrożonej herbaty i pociągnął Irish, żeby usiadła.

- Ogłaszam przerwę, Widok smażonych kurczaków napawa mnie wstrętem. -Usiadł ciężko i położył stopy na drugim krześle. - Nie potrafię zrozumieć, jak Pete sobie z tym radzi, w jego wieku.

- Ani ja- dodała Irish i z przyjemnością napiła się herbaty. - Mam ponad pięćdziesiąt lat mniej niż on, a jestem wykończona. To było gorsze niż dzień specjalnych pokazów przy stoisku kosmetycznym.

- A co to za pokazy?

- Tym się zajmuję na co dzień. Prezentuję możliwości, jakie dają najnowsze kosmetyki, jeśli chodzi o tuszowanie blizn i znamion na skórze. Zobacz, ja sama tego używam. - Odwróciła się bokiem do niego, ukazując lewą stronę twarzy.

- Masz znamie?

- Nie, blizny od noża. Już ich prawie nie widać. Mam znakomitego chirurga plastycznego.

Kyle przez chwilę nic nie mówił.

- To musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie - odezwał się po jakimś czasie. - Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie teraz - odparła w popłochu. - O, przyszedł klient. Nie, nie, siedź. Ja go obsłużę.

Zerwała się i podeszła do kasy. To dziwne, właśnie kiedy pomyślała, że tamto wszystko zostało już daleko poza nią, okazało się, że wcale tak nie jest. No, ale przynajmniej nie męczą już jej senne koszmary. Dwa lata terapii zrobiły swoje.

Przed zmierzchem sprzedawcy i rzemieślnicy, którzy porozstawiali swoje stragany przed sklepem, obniżyli ceny, żeby wyprzedać resztę towarów. Irish poszła przejść się, obejrzeć targ. Zobaczyła Jasona, obsługującego maszynę do robienia waty z cukru, i pomachała mu ręką. Chłopiec odwzajemnił się jej, a potem szybko pochylił głowę.

W ofercie sprzedających było niemal wszystko - od domowych dżemów i marynat, poprzez cenne starocie do zwykłych śmieci. Ale przy swoich funduszach, a właściwie ich braku, mogła tylko sobie popatrzeć. Kupiła jedynie trzy używane powieści za dwadzieścia pięć centów, żeby poczytać wieczorem. Kiedy odwróciła się, zobaczyła stojącego tuż za nią Jasona, który podał jej watę na patyku.

- To dla pani.

- O, jaki jesteś kochany. Uwielbiam watę cukrową - powiedziała z uśmiechem.

Chłopiec zrobił się cały czerwony i szybko zniknął. Irish usłyszała czyjś śmiech i spojrzała przez ramię. W pobliżu stał Kyle i przyglądał się jej.

- Zdaje się, że masz kolejnego adoratora.

- Kolejnego?

- Po mnie i wszystkich dorosłych mężczyznach w zasięgu wzroku.

Nagle zobaczyli małego berbecia z kręconymi włoskami, który płacząc dreptał w ich stronę. Dobiegł do nich i objął oburącz nogę Irish. Oddała swoją watę Kyle'owi i wzięła dziecko na rękę. Było ubrane w pobrudzony trawą pasiasty kombinezon i zrobiony na drutach czerwony kaftanik.

- Cześć, mały. Jaki jesteś śliczny.

Dziecko wsadziło palec do buzi i w szerokim uśmiechu ukazało cztery zęby.

- Jestem zmuszony obniżyć granicę wieku - powiedział Kyle. - Zdaje się, że zdobyłaś następne serce.

- W lekko wilgotnym opakowaniu. Gdzie jest twoja mamusia, kochanie?

- Ma-ma - odezwał się mały, obejmując ją łapkami za szyję i zaczął płakać.

Irish o mała nie rozpląnęła się z czułości. Nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że dzieci są tak urocze. Zwłaszcza takie, które mówią do niej „mama”. Głaskała i poklepywała go po plecach, a on tymczasem przylgnął do niej jak małpka.

- Myślisz, że się zgubił?

- Jestem pewien, że jego matka jest gdzieś tu w okolicy, tylko jeszcze nie zauważyła jego zniknięcia - odparł Kyle. - Chodź, przejdźmy się i poszukajmy jej. Może go poniosę?

Mały miał odmienne zdanie na ten temat. Przywarł do szyi Irish jak tonący do koła ratunkowego.

- Ma-ma! - wołał, kiedy Kyle próbował go zabrać.

- Dobrze, już dobrze, kochanie - uspokajała dziecko Irish.

- Chyba lepiej będzie, jeśli ja go poniosę. Nie jest wcale taki ciężki.

A kto w tej chwili zajmuje się sklepem?

- Jenny, sąsiadka, która czasami nam pomaga. Dzisiaj nie mogła przyjść wcześniej, bo musiała pojechać do Tyler, odwiedzić kogoś w szpitalu.

Sprzedawcy pakowali już swoje kramy. Irish i Kyle obeszlili cały teren i pytali wszystkich, ale nikomu nie zginęło dziecko. W końcu wrócili do sklepu, gdzie Kyle zwolnił Jenny i zamknął kasę. Stanęli na ganku i w zapadającej ciemności obserwowali odjeżdżające ciężarówki. Ostatni opuścił to miejsce Jason ze swoim ojcem. Irish pomachała mu ręką na pożegnanie.

- No to mamy problem - stwierdziła, zwracając się do Kyle'a.
- Widzę. Może zadzwonię na policję?
- Dobrze. Ale pilniejsza jest pielucha. Czy macie jakieś w sklepie?
- Na pewno są jakieś jednorazowe.
- A ty wiesz, jak się to zmienia?
- Żaden problem.

Pięć minut później berbecę leżał już na stole przykrytym papierem, a Kyle bez trudności zdjął przemoczoną pieluchę, wytarł dziecko, przypudrował zasypką i założył nowe pieluchomajtki.

- Jestem pod wrażeniem - odezwała się Irish widząc, jak zręcznie przykleja taśmy mocujące na właściwych miejscach.

- Czasami pomagałem przy moim chrześniaku. On ma dopiero parę miesięcy, ale zasady są te same - odparł, wkładając dziecku na powrót kombinezon i unosząc je w górę.

- Ma-ma, ba-ba - zawołał mały na widok Irish.

- Nie jestem twoją mamą, ale obiecuję ci, że zaraz ją znajdziemy - tłumaczyła, biorąc go na ręce.

- Ba-ba, am. Ba-ba, am - mówiło dziecko, wyciągając rączki i klepiąc ją po policzku.

- Tak, tak, ba-ba, am - powtórzyła, pocierając nosem o nosek małego.

- Ba-ba, am! - krzyknął, uderzając ją mocniej.

- Nie mam pojęcia, o co mu może chodzić - powiedziała bezradnie Irish. - A ty?

- Może po prostu jest głodny.

- Oczywiście! Pewnie „ba-ba” znaczy butelka. Masz ochotę na butelkę, maleństwo?

- Ba-ba! Ba-ba! - wołał berbec, wierzgając w jej ramionach.

Irish spojrzała kątem oka na Kyle'a.

- Mam nadzieję, że macie w sklepie mleko i butelki do karmienia?

- Oczywiście, że jest mleko, ale nie mam pojęcia, czy są butelki.

Mamy natomiast odżywkę dla niemowląt. Zdaje mi się, że w magazynie stoi wysokie krzeselko do karmienia. Sprawdzę tylko, czy Pete czegoś nie potrzebuje i zaraz je przyniosę.

Za parę minut dziecko siedziało już w krzeselku z zawiązaną wokół szyi kuchenną ściereczką. Wypiło trochę mleka z papierowego kubeczka i chociaż Irish pomagała mu, i tak spora część znalazła się na tacy krzeselka i na podłodze. Mały śmiał się i walił rączkami, żeby jeszcze bardziej powiększyć bałagan, kiedy próbowała nakarmić go przetartą marchewką, groszkiem i kurczakiem, Kyle zaś tymczasem wycierał rozrzucone jedzenie.

- Nie jest wielkim amatorem groszku - zauważył, kiedy dziecko wypluło trzecią łyżeczkę zielonej papki.

- Nie, ale za to uwielbia marchewkę - odparła. Rzeczywiście, mały otwierał buzię jak pisklę, widząc puree z marchewki. W mgnieniu oka zjadł marchewkę, trochę kurczaka, słoiczek przetartego jabłka i wypił kolejny kubeczek mleka.

- Ale miał apetyt-Stwierdziła Irish, wycierając małe paluszki i buzię wilgotnym ręcznikiem. - A teraz lepiej zadzwońmy na policję,

- Ma-ma - powiedział chłopczyk, wyciągając do niej ramiona.

- Och, moje maleństwo. - Irish wzięła go na ręce i przytuliła. - Jak można zostawić coś tak słodkiego. Kiedy przyjadą? - spytała Kyle'a, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon.

- Nie wiadomo. Dyspozytor powiedział, że przez kilka godzin nie będzie nikogo wolnego - odparł i nagle odwrócił się, słysząc stukanie do drzwi.

Podszedł i otworzył je. W progu stała kobieta - niewysoka, o blond włosach i przerażonych oczach.

- Moje dziecko... zginęło mi dziecko - odezwała się głosem przerywanym łkaniem i wtedy spostrzegła małego. -Joey! - krzyknęła i rzuciła się ku niemu.

- Ma-ma! - zawołało dziecko, wyciągając do niej ręce. Kobieta porwała go w ramiona i przyciskała do siebie, obsypując pocałunkami.

- Dzięki Bogu, jesteś. O mało nie umarłam ze strachu. Spał na tylnym siedzeniu samochodu, a starsze dziewczynki miały go pilnować, ale zapomniały o nim, bo zajęły się oglądaniem lalek. Musiał wymknąć się z samochodu, kiedy ja kupowałam warzywa - tłumaczyła się pośpiesznie. - Myślałam, że wciąż śpi, i dopiero przed Wills Point zorientowałam się, że go nie ma. Och, Joey, moje kochanie.

Całując z zapalem pulchne policzki dziecka, dziękowała Irish i Kyle'owi wylewnie i zaoferowała im nagrodę za odnalezienie dziecka. Oboje zgodnie odmówili.

Uradowana mama odjechała, a oni stali na ganku, machając jej na pożegnanie. Kiedy samochód zniknął już im z pola widzenia, Kyle objął Irish ramieniem, a ona oparła o niego głowę.

- Niewiarygodne, jak szybko taki brzdąc potrafi zapaść ci w serce - powiedział.

- On był uroczy.

- Myślałaś kiedykolwiek o tym, żeby mieć własne dzieci?

Dotyk jego ręki sprawiał, że przenikał ją dreszcz, ale usiłowała panować nad głosem,

- Czasami mi się zdarzało, ale tylko tak ogólnie. Do tej pory nie miałam zbyt wiele kontaktów z dziećmi.

- Byłaby z ciebie wspaniała matka - powiedział cicho i delikatnie pocałował ją w czoło,

- Muszę najpierw znaleźć męża - odparła z uśmiechem.

- A szukasz? - spytał, opierając się plecami o balustradę i przyciągając ją do siebie.

W słabym świetle wydawało jej się, że jego oczy lśnią jak błękitne ogniki. Jak zahipnotyzowana uniosła ku niemu twarz, w stronę zbliżających się do niej ust.

- Tak - szepnęła.

Jego wargi dotknęły jej warg - pytająco, delikatnie. Wiedziała, że daje jej możliwość wycofania się, ale jego zapach, cała otaczająca go aura sprawiały, że znikły gdzieś rozsądek i umiejętność oceny sytuacji. Miał takie miękkie usta. Ciepłe. Cudowne.

I tak podniecające.

- Tak - powtórzyła, zapominając, o co pytał, i otoczyła go ramionami.

Teraz jego wargi zagarnęły jej usta - władczo, zachłannie, i poczuła, że ziemia się poruszyła. Fajerwerki wybuchały w każdej komórce jej ciała, po skórze przebiegały dreszcze, pod powiekami strzelały ogniste race. Przerażona własną reakcją próbowała oderwać się od niego, ale kolana miała jak z waty. Oparła głowę o jego pierś i starała się uspokoić oddech.

- O Boże - powiedziała. Nie powinna była do tego dopuścić, Wszystko nie tak. Zupełnie nie takiego mężczyzny szukała.

- Jakiego rodzaju mężczyzny szukasz? - spytał, jakby potrafił czytać w jej myślach.

Gładził ją po plecach, aż zaczęła drzeć jak osika. Musi z tym skończyć! Zebrała wszystkie siły.

- Już ci mówiłam. Bogatego. - To zabawne, jak dziwnie brzmiał jej własny głos. -I nie obraż się, ale nie mam zamiaru wiązać się z kimkolwiek innym.

- Rozumiem - odparł spokojnie, uniósł jej podbródek i znów pocałował.

Chyba wszystkie ognie sztuczne w święto Czwartego Lipca nie spowodowałyby takiego wybuchu. Nie może pozwolić, żeby tak ją całował. Natychmiast musi z tym skończyć.

Za chwilę.

Wpiła palce w te jego wspaniałe, gęste włosy i miała zamiar oderwać jego głowę i usta od siebie, ale jakoś dłonie nie zrozumiały tego i przyciągnęły go jeszcze mocniej. Musi powstrzymać go zaraz, za chwilę, za minutę.

Albo za dwie.

Kiedy w końcu Kyle oderwał usta, nie mogła opanować drżenia.

- Dobry Boże - wyszeptał, z trudem chwytając oddech.

- Nie jesteś w moim typie - powiedziała stanowczo, ale takim głosem, jakby przechodziła atak astmy.

- Oczywiście - odparł i pocałował ją jeszcze raz.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kyle rzucił słuchawkę telefonu i zaklął. Gdzie do cholery podziewa się ten Jackson? Chyba z dziesięć razy w ciągu minionych dwóch dni wydzwaniał do hotelu w Dallas, gdzie zatrzymał się jego kuzyn, ale wciąż nie mógł go złapać. Niech to szlag trafi!

- Jakież kłopoty?

Podniósł głowę i zobaczył Irish, stojącą w progu. Czy słyszała, jak zostawiał wiadomość dla Jacksona? Miał nadzieję, że nie, bo wtedy wszystko by przepadło.

- Słucham?

- Wydawało mi się, że wyrażasz się krytycznie o moim pochodzeniu i na dodatek jesteś zły. Dlatego zapytałam, czy masz jakieś kłopoty.

- Niezupełnie. Po prostu usiłowałem się dodzwonić do przyjaciela, ale wciąż nie mogę go zastać. Czy dziadek zjadł śniadanie?

- Wszystko, co do okruszyny. Zaproponowałam, że mu poczytam, ale on chce obejrzeć mszę w telewizji.

- Mszę? Dziadek Pete?

- Tak powiedział. Masz ochotę na wafelka?

- Zawsze.

Poszła po wafle, a on tymczasem sprzątnął stół kuchenny i nalał do szklanek sok pomarańczowy.

- Świetnie razem się zgadzamy, prawda? - zagadnął Kyle.

Irish usiadła i zaczęła jeść wafel, jednocześnie zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Widzisz, Kyle - zaczęła powoli - rzeczywiście dobrze nam się pracuje razem, ale... to co było wczoraj wieczorem... nie powinno było się stać. I nie stałoby się, gdyby nie te wszystkie wydarzenia, to znaczy chodzi mi o znalezienie Joeya, a potem powrót jego matki. Tamto było po prostu spontaniczną reakcją na wspólnie przeżyty stres.

- Tak myślisz? - spytał, z trudem skrywając rozbawienie.

- Oczywiście. Nie chcę kłamać, że wcale mi się nie podobasz, ale między nami nic może dojść do niczego. Jesteś bardzo miły i chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi, ale to wszystko.

- Bo szukasz kogoś bogatego?

- Właśnie. Może powiesz, że jestem wyrachowana, ale to niczego nie zmieni. Muszę postawić sprawę jasno. Ten pocałunek to tylko...

- Spontaniczna reakcja na wspólnie przeżyty stres?

- No właśnie. I nie świadczy o niczym - odparła, biorąc do ust kolejny wafel.

- Rozumiem. A gdyby znów coś takiego się zdarzyło, znaczyłoby to, że nastąpiła jedynie kolejna spontaniczna reakcja pomiędzy dwojgiem przyjaciół.

- Właśnie. Nie! Chodziło mi o to, że nic takiego już się nie zdarzy.

- Bo jesteśmy tylko przyjaciółmi, tak?

- Tak.

- Aha, przyjaciółmi. I nie ma między nami żadnego pociągu seksualnego.

-Nie ma.

Nie mógł się powstrzymać i wyrwało mu się krótkie parskniecie.

- Co to miało znaczyć?

- Nic rozumiem? - Kyle patrzył na nią z niewinną miną.

- Chodzi mi o dźwięk, który wydałeś.

- Pewnie kichnąłem. Słuchaj, co byś powiedziała, gdybyśmy dziś po południu pojechali do Tyler? Mam stamtąd przywieźć kilka rzeczy, a Jenny przyjdzie zająć się sklepem i dziadkiem. Powinna zaraz być, jak tylko wróci z kościoła. Moglibyśmy zjeść tam obiad i pójść na przykład do kina. Ja stawiam. Co ty na to?

- Brzmi zachęcająco. Jak daleko jest do Tyler?

- Jakies pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów. Musiałaś przejeżdżać tamtędy w drodze z Dallas.

Dokończyli śniadanie w milczeniu, ale Kyle mógłby przysiąc, że ona myśli o tym samym, co on. Żadnego pociągu, koń by się uśmieł. Jeszcze trochę, a cały ten dom zajmie się od iskier, które się sypią, kiedy tylko do siebie się zbliżą. Gdyby miał choć kilka dni, zdołałby ją przekonać, że wspaniale do siebie pasują.

Pod warunkiem, że uda mu się namierzyć Jacksona i opóźnić jego powrót.

Irish miała nadzieję, że Jackson nie będzie zwlekał z powrotem do Crow's Nest. Musi jak najdalej trzymać się od Kyle'a Rutledge'a, bo jeszcze zrobi coś głupiego. Patrząc w lustro i dokonując ostatnich poprawek w makijażu pomyślała, że, nawet ten wspólny wyjazd do Tyler jest igraniem z ogniem. Dziwne, że nos jej nie urósł jak Pinokiewi za tamto kłamstwo, jakoby nic do siebie nie czuli.

Była zadowolona ze swojego wyglądu. Specjalnie wybrała spokojny, nie rzucający się w oczy strój - beżowe spodnie i jedwabną bluzkę koszulową. Włożyła jeszcze złote kolczyki w kształcie kół, złoty

łańcuszek, wzięła torebkę na rzemyku i wyszła do Kyle'a, który czekał już na nią na ganku.

Spojrzenie, którym ją pochłaniał, powiedziało jej, iż całe staranie, żeby wyglądać niepozornie, nie na wiele się zdało. Równie dobrze mogła mieć na sobie bieliznę z czarnej koronki.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział Kyle, uśmiechając się prowokująco.

- Dziękuję.

Musiała ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć, że on też nie prezentuje się najgorzej. Jego spodnie i koszula wyglądały na włoskie. Kosztowny włoski ubiór z dobrej firmy. Nawet jeśli kupił wszystko w sklepie z używaną odzieżą, musiał sporo za to zapłacić. Nic dziwnego, że nie powiodło mu się w Kalifornii - pewnie wydawał wszystko na ubranie.

- Jenny już przyjechała, więc jeśli jesteś gotowa, to możemy ruszać.

- Jestem gotowa.

Zaprowadził ją do stojącej przed sklepem jaskrawoniebieskiej półciężarówki.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy tym pojechali. Muszę przywieźć trochę towarów..,

- Oczywiście, że nie mam. Tym bardziej że jeszcze nigdy nie jechałam takim samochodem.

- Żartujesz.

- Wcale nie. Obawiam się, że mam duże braki w różnych dziedzinach.

- Musimy to nadrobić. Jakie jedzenie lubisz? Ja osobiście mam ochotę na coś z kuchni włoskiej albo chińskiej.

W końcu zdecydowali się na jedno i drugie. Na obiad poszli do znakomitej włoskiej restauracji, a potem kupili chińskie jedzenie na wynos, żeby zjeść później razem z Pete'em. Byli też w kinie i zrobili zakupy w domu towarowym.

Irish wolałaby powiedzieć sobie, że nie była to specjalnie interesująca wycieczka, ale nie mogła. Może Kyle nie był odpowiednim materiałem na męża, za to tak przyjemnie się z nim przebywało. Zabawiał ją i czarował, a jednocześnie rozmowa z nim była poważna i ciekawa. Kobiety gapiły się na niego i tręcały łokciami swoje towarzyszki, choć on w ogóle nie zwracał na to uwagi. Gdy od czasu do czasu musnął dłonią jej ramię, o mało nie wyskakiwała ze skóry. Tak, byłby to dla niej niemal idealny mężczyzna.

Szkoda tylko, że biedny.

Musiała w kółko sobie przypominać, że walczy o wyższą stawkę. To samo powiedziała jemu, kiedy po raz drugi tego dnia próbował ją pocałować. A może to był trzeci? Za pierwszym razem udało mu się skorzystać z jej nieuwagi, ale po chwili zebrała siły i odepchnęła go.

- Ja... jutro wyjeżdżam - powiedziała.

- Jak to?

- Nie pamiętasz? Jackson Crow ma wrócić jutro, a przecież przyjechałam tu z jego powodu. To znaczy oczywiście, z powodu artykułu, który mam napisać. - Wtuliła głowę w ramiona. - Przestań!

- Co mam przestać?

- Skubać moją szyję.

- Naprawdę skubałem? - Przesunął językiem po obrzeżu jej ucha i lekko ścisnął zębami. - Nie lubisz tego? Po tych westchnieniach, jakie wydawałaś, sądziłem, że to ci się podoba.

- Ja nie wzdychałam!

- Przepraszam, musiałem się pomylić. Dla mnie to brzmiało jak westchnieniu,

- Wydawało ci się. I zabierz mi ten język z ucha, a rękę z mojej piersi.

- Tego też nie lubisz? - spytał, pieszcząc kciukiem czubek jej piersi, który natychmiast stwardniał jak kamień.

- Zdecydowanie nie.

- Zabawne, znów wydajesz te odgłosy. Te, co brzmią jak westchnienia, ale wcale nimi nie są.

- Widocznie musisz umyć sobie uszy. Odsuń się ode mnie!

- Nie mogę, skarbie.

- Dlaczego nie możesz?

- Bo tak mocno mnie ściskasz.

Rzeczywiście tak było i na dodatek okazało się, że ramiona nie chcą poddać się jej woli.

- Chyba mnie sparaliżowało - szepnęła, wyciągając ku niemu usta. Tylko jeden pocałunek, powiedziała sobie. Tylko ten jeden na dobranoc.

Kiedy w końcu się rozłączyli, wpadła do swojego domku, zamknęła drzwi i zaryglowała je, a potem oparła się o szorstkie drewno i zaczęła napawać się wspomnieniem dotyku jego warg. Jaka szkoda, że on jest biedny.

Ale tak niestety jest i musi o tym pamiętać.

Czuając ciężar na sercu poszła sprawdzić, czy okna są dokładnie zamknięte, a ciężki żelazny palik, który zawsze musiała mieć pod ręką, podpieka lufcik.

Następnego ranka Alma Jane pojawiła się w pracy oznajmiając, że wysypka jest już „do wytrzymania”. Kyle zajął się wyrzynaniem z drewna nowych modeli, a Irish przeczytała Pete'owi rozdział poradnika na temat lokowania pieniędzy.

- Trochę to dla mnie dziwny wybór, po powieściach Grishama i Clancy'ego - powiedziała staruszkowi. - Nie uważa pan tego za nudne?

- Wcale nie. Zawsze cenilem to wydawnictwo. Dzięki niemu... - Przerwał nagle i zaniósł się suchym kaszlem.

- Dzięki niemu co?

- Dzięki niemu wiem, na jakim koncie trzymać moją emeryturę. Nie to, żebym znowu miał tak dużo do odkładania, sama rozumiesz. Słyszałaś to?

- Co takiego?

- Ee... nic, nieważne. Może pooglądamy telewizję? Teraz chyba będzie coś ciekawego. - Staruszek chwycił pilota i nastawił odbiornik tak głośno, że uszy pękały.

- Nie tak głośno! - zaprotestowała Irish i ściszyła telewizor. W tym momencie usłyszała dochodzący przez okno wyraźny odgłos pracy silnika. Podbiegła do okna i wyjrzała. - To śmigłowiec. Duży, biało-czarny. Leci tak nisko, że o mało nie ściał wierzchołków drzew,

- Co za dureń! Któregoś dnia naprawdę się rozwali.

- Kto taki?

- Ee... nie wiem. Wszystko jedno.

- O, za nim leci drugi. Na pewno Jackson Crow już wrócił. Lepiej pójde się spakować.

- Spakować? A po co? Myślałem, że spodobało ci się u nas. No i kto mi będzie czytał, jeśli wyjedziesz?

- Och, tak mi przykro. - Pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Przecież pan wie, że to było tylko chwilowo. Mam coś do zrobienia.

- Pisać o tej bandzie łobuzów. To marnowanie papieru, jeśli ktoś mnie pyta o zdanie.

- Czuję, że pan niezbyt wysoko ceni Jacksona Crowa i jego przyjaciół - zauważyła Irish z uśmiechem.

- E tam, cenię czy nie cenię. Tyle że według mnie oni wszyscy powinni się wreszcie ustatkować, znaleźć sobie żony, założyć rodziny, a nie włączyć się w tych helikopterach albo szturchać małe białe piłeczki wkoło pól kukurydzy.

- Poświęcę się i spróbuję wydobyć jednego z nich z tej zgnilizny, dobrze? - powiedziała Irish chichocząc.

- Jednego z tamtych? A ja myślałem, że podoba ci się Kyle...

- Pana wnuk jest bardzo miły, ale nie zmieniłam planów. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. - Pochyliła się i jeszcze raz pocałowała staruszkę. - Życzę panu, żeby dzisiejsze badania wypadły jak najlepiej. Wpadnę odwiedzić was za dzień czy dwa.

Wychodząc z pokoju miała łzy w oczach. Zbiegła pośpiesznie po schodach, żeby jak najszybciej ubrać się i spakować. Nie chciała wstępować do stodoły - powtarzała sobie przez cały czas, że Kyle pracuje, więc po co mu przeszkadzać. Kiedy zamykała za sobą drzwi, usłyszała odgłos wystrzału.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tym razem brama była otwarta i Irish podążając za samochodem dostawczym, dotarła wreszcie wąską dróżką prosto do Crow's Nest. Kilkupiętrowa posiadłość, zbudowana z kamienia, drewna i szkła, stała przytulona do zbocza góry i wspaniale wtapiała się w krajobraz. Na pierwszy rzut oka widać było tu wielkie pieniądze i klasę.

Kiedy zatrzymała się przed głównym wejściem, dojrzała małe domki stojące pod drzewami i połączone krętymi skalnymi ścieżkami. Naprzeciwko głównego budynku zaczynało się pole golfowe z jaskrawozieloną wypielegnowaną trawą, a na lewo lądowisko dla śmigłowców. Z tego, co mówiła Kim, powinny jeszcze tu być korty tenisowe, basen i stajnie.

To dopiero jest życie.

Wysiadła z mercedesa, w nowych ciuchach i zamszowych wysokich butach, po czym zbliżyła się do wielkich drzwi, rzeźbionych w drewnie. Pomieszczenie, do którego weszła; było wysokie na dwa piętra. Masywne belki i kamienna podłoga nadawały mu nieco surowy, męski charakter. Z jednej strony całą niemal długość zajmował bar, z przeciwnej - restauracja. Wnętrze udekorowane było roślinami doniczkowymi i rzeźbami, z których kilka wyglądało łudząco podobnie do znanych już jej, grubo ciosanych figur w sklepie Pete'a.

Na wprost zobaczyła recepcję i tam też się skierowała. Za ladą siedziała biuściasta blondynka. Na przypiętym identyfikatorze w kształcie gwiazdy wypisane było jej imię - Tami. Była młodziutka, nie mogła chyba

mieć więcej niż osiemnaście lat. Na widok Irish uśmiechnęła się promiennie.

- Dzień dobry. Czym mogę pani służyć?

- Nazywam się Irish Ellison. Byłam umówiona z panem Jacksonem Crowem na piątek, ale przyjechałam z opóźnieniem i nie zastałam go. Czy może teraz już jest?

- Och, oczywiście. Pani jest z „Esprit”, prawda? Czytam każdy numer od deski do deski. Wydaje mi się, że gdzieś panią widziałam - mówiła recepcjonistka, przyglądając się Irish uważnie. - Na pewno na zdjęciu w jakimś magazynie. Jackson nie mógł odżalować, że wtedy się z panią rozminął, ale chłopcy tak go naciskali, żeby już jechać do Dallas, że nie miał innego wyjścia. W tej chwili rozmawia przez telefon ze swoim kuzynem, ale powiem mu, że pani przyjechała. Proszę usiąść. Może kawy?

- Nie, dziękuję. #

Była zbyt zdenerwowana, żeby siadać. Chwyciła tylko poręcz najbliższego krzesła i zrobiła kilka głębokich oddechów, usiłując się odprężyć. Oto nadeszła chwila, od której zależy cała jej przyszłość, i dlatego chciała zrobić jak najlepsze wrażenie na Jacksonie Crowie.

Usłyszała za sobą damski chichot i cichy męski głos. Odwróciła się i ujrzała wysokiego ciemnowłosego mężczyznę, który obejmował Tami i szeptał jej coś do ucha. Mężczyzna właśnie w tej chwili dostrzegł Irish, więc uśmiechnął się szeroko i powiedział coś cicho do Tami, która szybko wróciła na swoje stanowisko. Nieznajomy zbliżył się do Irish, przyglądając się jej. Miał na sobie koszulę w biało-różowe paski i dzinsy, a na przegubie dłoni złotą bransoletę, która musiała ważyć chyba z kilogram.

- Droga pani, zasługuję na wszystko co najgorsze za to, że naraziłem panią na choćby najdrobniejszą przykrość. - Ujął jej drobną rękę w obie dłonie i uniósł do warg. - Jestem Jackson Crow, ten łajdak, który nie zczekał na panią w piątek. Mógłbym podać ze sto wyjaśnień, ale nic nie zrekompensuje tego, co już się stało. Polecam się więc po prostu pani wspaniałomyślności. Może pani kazać mnie wychłostać, a jeżeli nie, to i tak zrobi to pewnie moja siostra;

Irish zaśmiała się, przez cały czas świadoma jego taksującego wzroku.

- Nie wydaje mi się, żeby trzeba było uciekać się do chłosty. Poza tym, wina była po mojej stronie - spóźniłam się, a przecież pan miał gości, którymi musiał się pan zajmować. Zresztą nic takiego się nie stało.

- Chyba możemy mówić sobie po imieniu, prawda? - Wziął ją pod ramię. - Witam w Crow's Nest. Ulokowałem cię w najlepszym apartamencie. Zobaczymy, czy ci się spodoba. Tami, skarbie, powiedz Buddy'emu, żeby zaniósł bagaże panny Ellison do trzysta dziesięć.

Razem z Jacksonem pojechała windą na drugie piętro. Jej towarzysz miał bardzo przyjemny sposób bycia, przy nim każdy miał wrażenie, że tylko jemu poświęca całą uwagę. Był poza tym niebywale przystojny. Prawie tak jak Kyle, tylko w innym rodzaju.

No i do tego taki dziany. Ma miliony dolarów. Wysoki, czarny, przystojny, czarujący i bogaty. Czego więcej mogłaby pragnąć?

Być może - o ile to, co mówił Kyle, było prawdą - czasami zdarzyło mu się wypić za dużo, ale teraz był całkiem trzeźwy. Niepokoiło ją raczej co innego - wyraźna zażyłość z Tami. Jeśli lubi młode, biuściaste panienki,

to ona nie ma tu czego szukać - jest od Tami co najmniej o dziesięć lat starsza i ma dużo skromniejsze warunki fizyczne.

Tymczasem dotarli do drzwi z numerem trzysta dziesięć i kiedy Jackson otworzył je, przed Irish roztoczył się niezapomniany widok. Pokój urządzone był w wiejskim stylu, ale wszystkie detale były pieczołowicie dobrane - od kamiennego kominka do wiszących na ścianach obrazów. Wielkie okno ukazywało pole golfowe położone przepięknie wśród drzew i dwóch małych jezior, a w oddali wznosiły się wzgórza, porośnięte lasem.

- Co to takiego? - spytała, wskazując na czarne maszyny. Podobne były do wielkich pasikoników, miarowo podnoszących i pochylających głowy, które znajdowały się na wyciętych w lesie polanach.

- Pompują ropę - odparł Jackson, a Irish aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Należą do ciebie?

- Do rodziny - powiedział, wzruszając ramionami. -Buddy, zanieś bagaże do sypialni.

Wysoki, młody człowiek, mniej więcej w wieku Tami, poszedł z walizkami do drugiego pokoju.

- I jak ci się podoba? - spytał Jackson.

- Wspaniale. Tu jest przepięknie.

- No to świetnie. Zostawię cię teraz, żebyś mogła się rozgościć.

Gdybyś czegoś potrzebowała, to jestem po drugiej stronie holu. Za godzinę wszyscy spotykamy się na lunchu, więc będzie okazja, żebyś poznała całe zgromadzenie. Pewnie nie możesz już się doczekać.

- Na co?

- Żeby zebrać materiały do swojego artykułu, jak sądzę.
- Artykułu? Ach tak, oczywiście.
- Wolałabyś sporządzić sobie listę spotkań i rozmów, czy działać

bardziej spontanicznie?

- No cóż... chyba pokręcę się po prostu wokoło i zobaczę, jak to najlepiej zrobić. Nie zwracajcie na mnie uwagi.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł nie zwrócić na ciebie uwagi.

- Dziękuję za komplement.

- To wcale nie był komplement. Do zobaczenia na dole za godzinę.

Zaraz po wyjściu Jacksona sprawdziła zamki w drzwiach. Ku jej uldze okazało się, że oprócz zwykłego zatrzasku jest też solidnie wyglądająca zasuwka. Potem przyjrzała się oknom. Zdawała sobie sprawę, że to drugie piętro, ale poczuła się lepiej, kiedy okazało się, że też mają zamki. Największy problem stwarzały drzwi balkonowe, lecz wymyśliła, że można zastawić je kanapą.

Może jej zachowanie było trochę dziwne - no dobrze, nawet bardzo dziwne, ale psychoterapeuta twierdził, że w takich okolicznościach jest całkowicie usprawiedliwione i że z czasem obawy będą stopniowo ustępowały. Musiała nauczyć się radzić sobie z tym najlepiej, jak potrafiła. Zwłaszcza że nie mogła już dłużej pozwolić sobie na korzystanie z usług psychoanalityka.

Kyle odebrał telefon już po pierwszym dzwonku.

- Halo?

- Chyba siedziałeś na telefonie. Cóż to, jesteśmy zdenerwowani, drogi kuzynie?

- Przestań. Co z Irish?

- Jest w swoim apartamencie, tym naprzeciwko mnie, na drugim piętrze. Wiesz, to rzeczywiście piękna kobieta. Bardzo mi się spodobała.

- Odczep się od niej, bo cię załatwię.

Jackson zaczął się śmiać.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ci na kimś tak zależało. Aż mi trudno uwierzyć.

- Lepiej uwierz. To ma dla mnie wielkie znaczenie, naprawdę bardzo wielkie. Chyba nie powiedziałaś jej, że jesteśmy kuzynami albo że Pete jest twoim dziadkiem?

- Akurat się nie zgadało na ten temat. A może wreszcie wytłumaczysz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Chyba nic ostatnio nie przeskrobałem takiego, żebyś musiał mnie się wypierać?

- Wcześniej nie, ale nie wiem nic o tym, co robiłeś w ciągu ostatniej godziny - odparł Kyle ze śmiechem, a potem powiedział kuzynowi, co wie o Irish i jej planach. Oraz co on sam zamierza z tym zrobić. - Pomożesz mi?

- Jeśli tego właśnie chcesz... Powiem ci tylko, że dla mnie całe to zamieszanie jest bez sensu. Przecież mógłbyś oszczędzić sobie wiele zachodu, gdybyś po prostu powiedział jej prawdę. A potem żylibyście długo i szczęśliwie.

- Zrobisz to, o co cię poproszę? To dla mnie bardzo ważne.

- Jasne. I powiem chłopakom, żeby czegoś nie palnęli. Matt dopiero jedzie z Dallas i wstąpi po drodze do dziadka. Będziesz mógł sam go wtajemniczyć.

- Matt już tu jest i wie o wszystkim, ale powiem ci, że nie ufam do końca temu twojemu bratu. Miej oko na niego, dobrze?

- Zgoda. Jak się czuje dziadek?

- Nadspodziewanie dobrze. Dziś po południu zabieram go do ortopedy, a poza tym wynająłem już pielęgniarza i specjalistkę od fizykoterapii, żeby zamieszkali tu przez tydzień czy dwa. Zwolniłem swój pokój na górze, żeby ktoś z nich mógł tam zamieszkać i być bliżej dziadka. Sklepem zajmują się Alma Jane i Jenny.

- Pamiętaj tylko, że po tym, jak Smith odwołał przyjazd, liczymy na ciebie w jutrzejszym turnieju.

- Pamiętam, tyle że nie jestem takim dobrym golfistą jak mój brat i przez ostatnie pół roku w ogóle nie grałem.

- Dobra, dobra, nie ze mną takie gadanie. Ty i Smith zawsze puszczaście nas z Mattem bez portek.

Kyle zachichotał, przypominając sobie te wszystkie zawody, w których współzawodniczyli parami.

- To prawda. Będę wieczorem w Crow's Nest. Na razie.

Irish rozpakowała się, a potem przez kilka minut podziwiała widok z okna. Nie mogła jednak usiedzieć na miejscu. Nie przyjechała tu dla pięknych widoków... Przed lunchem powinna spróbować zdobyć trochę wstępnych informacji. Poprawiła makijaż, zabrała notes i zeszła na dół, żeby wyciągnąć coś z Tami.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała. Chociaż jej wygląd raczej o tym nie świadczył, dziewczyna była bystra i zdecydowana, żeby nie ujawnić żadnych osobistych szczegółów na temat mieszkańców i gości Crow's Nest. Irish dowiedziała się jedynie, że członkami klubu są teksańscy milionerzy, którzy nie mają jeszcze czterdziestki i nie są żonaci.

Chociaż - jak stwierdziła Tami - niektórzy z nich są już zaangażowani w nieformalnych związkach albo zaręczeni.

- Obawiam się, że to wszystko, co mogę pani o nich powiedzieć - stwierdziła. - Oprócz tego, że są bardzo mili - dodała chichocząc. - O wszystko inne musi pani zapytać Jacksona lub ich samych. - Pochyliła się do Irish i dodała szeptem: - Gdybym powiedziała choć słowo na ich temat, wylano by mnie stąd w ciągu minuty, mimo że Jackson był drużbą na ślubie moich rodziców. Cenię sobie tę pracę, bo w okolicy nigdzie nie znalazłabym równie dobrze płatnej, a to ważne, kiedy ma się rodzinę na utrzymaniu.

- Jak to?

- O, niech pani zobaczy. - Podsunęła Irish ramkę z fotografią młodego mężczyzny z niemowlęciem. - Jimmy", mój mąż, studiuje, a popołudniami pracuje tutaj, przy koniach. Paulie zaś w ciągu dnia jest z moją mamą. Ma teraz dziewięć miesięcy i tylko się obejrzeć, jak zacznie chodzić.

Irish opuściła recepcję bogatsza o szczegóły dotyczące ząbkowania Paulie'ego i przepis na najlepszą w okolicy galaretkę z jeżyn, natomiast bez sukcesów, jeśli chodzi o informacje na temat milionerów. Nieważne, powiedziała sobie, wychodząc na dwór. Tak naprawdę, interesuje mnie głównie Jackson. Co prawda, w jej myślach co chwila pojawiał się Kyle, ale usiłowała wyrzucić go stamtąd, Jackson. To Jackson jest mężczyzną w sam raz dla niej.

Przystojny jak czort i nieprzyzwoicie bogaty.

Idealny kandydat. Właśnie taki, o jakiego jej chodziło.

Nie zawrócił jej w głowie od pierwszego wejrzenia, ale uznała, że ludzie za bardzo przeceniają tę sprawę. Była pewna, że z czasem nawiąże się między nimi jakaś nić, która będzie stawać się coraz silniejsza. Jackson jest przecież czarującym mężczyzną i jego i pocałunek na pewno nie pozostawi jej obojętną.

Jeżeli jednak, z jakichś tam powodów, nic się między nimi nie nawiąże zostanie jej jeszcze z dziesięciu innych milionerów do wyboru. Miała zamiar dokładnie przyjrzeć się wszystkim, żeby nie wykluczać z góry żadnej możliwości.

Ścieżka, którą szła, zaprowadziła ją do kładki, przerzuconej nad strumykiem. Oparła się o poręcz i przyglądała krystalicznie czystej wodzie, płynącej leniwie wśród małych skałek i piaszczystych mielizn. Jak tu spokojnie! Czowała się tak bezpiecznie wśród szumu wysokich sosen, jakby znajdowała się w całkiem innym świecie. Przymknęła oczy, wsłuchując się w odgłosy ptaków, oddychając czystym, rześkim powietrzem i myśląc o tym, jak daleko w tyle zostało jej dawne życie.

- Witaj, piękna pani - odezwał się za nią męski głos. - Dlaczego przez całe życie nie wiedziałem o twoim istnieniu?

Irish odwróciła się, zaskoczona.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W pierwszej chwili pomyślała, że to Jackson, ale zaraz zobaczyła, że ten mężczyzna jest trochę młodszy. Też był wysoki i ciemnowłosy, ale miał delikatniejsze rysy i dołeczek w brodzie.

- O, dzień dobry - odezwała się. - Przestraszył mnie pan. Nie wiedziałam, że ktoś jest w pobliżu.

- Właśnie zostawiłem bagaże w domku tuż obok. Mam nadzieję, że jesteśmy sąsiadami?

- Sąsiadami?

- Mieszka pani w jednym z tych domków?

- Nie - odparła. - Zatrzymałam się w głównym budynku.

- Szkoda. Myślałem, że wpadnę wieczorem pożyczyć cukier czy coś w tym rodzaju. - Obdarzył ją uśmiechem i wyciągnął w jej stronę papierową torebkę. - Jestem Matt Crow. Poczęstuje się pani krówką?

- A ja nazywam się Irish Ellison. Dziękuję, chętnie. Uwielbiam krówki. - Sięgnęła do torebki, wyjęła jedną i włożyła do ust. - Mmmm... wspaniale.

- Moim zdaniem najlepsze krówki na świecie - odparł. - Proszę wziąć więcej.

- Rzeczywiście, nie jadłam lepszych i boję się, że jeśli skuszę się na następną, to w końcu wyrwę panu całą torbę.

Matt roześmiał się.

- Od razu przypadła mi pani do serca. Miałem właśnie wybrać się na lunch. Pójdziemy razem? - Kiedy zaś Irish zawahała się, podał jej torbę z cukierkami. - Proszę potraktować to jako próbę przekupstwa.

- Nie chciałam pozbawiać pana wszystkiego.

- W domku mam dużo więcej - powiedział, uśmiechając się. - A gdyby okazało się za mało, to jestem właścicielem fabryki krówek;

- Całej fabryki? Pierwszy raz spotykam kogoś, kto ma fabrykę cukierków.

Kiedy szli razem do głównego budynku, dowiedziała się jeszcze, że Matt właśnie ukończył studia prawnicze i ma zamiar zająć się adwokaturą, a oprócz tego prowadzi rozległe interesy w branży drzewno-budowlanej i posiada linię lotniczą Crow Airlines.

- Wiem, wasze samoloty pomalowane są całkiem na czarno.

- Tak, czarne ze złotymi napisami. Latałaś kiedyś naszymi liniami?

- Nie, chyba nie.

- Na pewno byś to zapamiętała. Piloci są ubrani w dżinsy i kowbojskie kapelusze, a obsługa w dżinsowe kombinezony. Serwujemy napoje i nasiona słonecznika. Gdyby ktoś chciał coś zjeść na pokładzie, niech weźmie swój prowiant. Miejsc też nie rezerwujemy, ale za to nikt nie ma lepszych cen i nie jest bardziej punktualny. No i nigdy nie mieliśmy wypadku.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Tanio, ale bezpiecznie. Mamy najlepszych na świecie pilotów i maszyny.

- Chyba jesteś bardzo dumny ze swojej linii, prawda?

- O, tak - odparł, otwierając przed nią drzwi do holu. Wewnątrz od razu natknęli się na dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i chudy, drugi, niższy od Irish o dobrych kilka centymetrów, nosił okulary o grubych soczewkach.

- Matt, ty chyba potrafiłbyś znaleźć piękną kobietę nawet w męskim klasztorze - powiedział mężczyzna w okularach.

- Widzisz, Harve, niektórzy to potrafią, a niektórzy mogą sobie tylko marzyć. Irish - oto Harve Dudley i Bob Willis. Irish przyjechała tutaj, żeby napisać o nas reportaż do... jak się nazywa to pismo?

- „Esprit” - odparła, podając im rękę na przywitanie. Okazało się, że Bob, ten wysoki, wyglądający na cichego i nieśmiałego, miał dużo ziemi i hodował bydło, zaś Harve posiadał kilka sieci sprzedaży samochodów.

- Potrzebny ci nowy cadillac, kochana? Jestem do usług.

- Nie bądź taki szybki - osadził go Matt. - Esther Anne gotowa wydrapać ci oczy.

Harve zaśmiał się, zaś Matt wyjaśnił Irish, że Esther Anne od ośmiu lat jest jego narzeczoną.

- Sama mawia, że Harve dlatego zwleka z małżeństwem, gdyż nie chce opuścić naszego klubu.

Przed, w trakcie i zaraz po lunchu Irish poznała następnych milionerów: Jima, Maca, Carltona, Aarona. Noaha, Mitcha i Vernona, zwanego Spudem. Zajmowali się przeróżnymi rzeczami - od uprawy ryżu, przez banki do budowy mostów. Jeden z nich - nie zapamiętała, czy Mac, czy Noah - działał w ratownictwie morskim, co brzmiało fascynująco. Wszyscy wydawali jej się nadzwyczaj atrakcyjni.

Nie zapomniała o robieniu notatek, żeby zamaskować prawdziwy powód przyjazdu. Zresztą i tak miała zamiar napisać ten artykuł, choćby dlatego, żeby być uczciwą wobec siebie samej.

- Brakuje jednego z naszych kolegów - powiedział Matt. - Mój kuzyn Smith, który hoduje krowy i uprawia grejpfruty w dolinie Rio Grande, tym

razem nie mógł przyjechać. Coś tam się dzieje w jego firmie komputerowej. Musimy porozmawiać z...

- Matt, do cholery! - warknął na niego Jackson.

- Cóż ja takiego powiedziałem? - Matt był wyraźnie zdziwiony.

- Przestań zajmować bez przerwy uwagę naszego pięknego gościa.

Może lepiej poszukałbyś Harve'a? Organizuje właśnie partyjkę pokera. -

Jackson z szerokim uśmiechem ujął Irish pod rękę. - Pokażę ci basen i stajnie. Jeździsz konno?

Nie powinna była kłamać. Należało przyznać się, że nie odróżnia jednego końca konia od drugiego. Nie cierpiałaby teraz takich katuszy. Ale ona powiedziała Jacksonowi, że trochę jeździła i bardzo chce nauczyć się jeździć w kowbojskim siodle. No i przez kilka godzin Jackson usiłował ją tego nauczyć.

Jedynym wnioskiem, jaki wysnuła z tej lekcji było to, że jazda na koniu nie jest odpowiednia dla normalnego człowieka.

Wewnętrzna strona ud bolała ją, jakby miała tam otwarte rany. Kość ogonowa na pewno została zmiażdżona, a kości biodrowe wyłamane ze stawów. Zacisnęła zęby i usiłowała zachować uśmiech, kiedy wracali do głównego budynku.

- Na pewno nic ci nie jest? - dopytywał się Jackson, nieco zaniepokojony,

- Oczywiście.

- W takim razie może wstąpimy do baru napić się czegoś?

- Może później - odparła szybko.

W tej chwili potrafiła myśleć tylko o gorącej kąpieli i wodnym masażu. Wyprostowała ramiona i na miękkich kolanach pomaszerowała prosto do windy.

Kiedy tylko weszła do środka, przycisnęła guzik drugiego piętra i złapała za uchwyt. Zamknęła oczy i usiłowała wytrwać jeszcze przez chwilę.

- To wspaniale, żeśmy się tutaj spotkali - odezwał się za nią znajomy męski głos.

Otworzyła szeroko oczy.

- Kyle!

- We własnej osobie.

- Co ty tu robisz?

- Jadę z tobą windą.

- To widzę, ale co robisz w Crow's Neit?

- Zostałem zaproszony.

- Jak to? Przez kogo?

- Przez Jacksona. Znamy się od dziecka, właściwie wychowaliśmy się razem.

- Przecież tu są tylko członkowie klubu milionerów. Właśnie winda zatrzymała się na drugim piętrze, więc Kyle przytrzymał drzwi i puścił ją przodem. Irish uznała, że musi jak najszybciej dotrzeć do swojego pokoju, dopóki w ogóle jest w stanie iść.

- To prawda, ale jeden z nich nie przyjechał i potrzebowali kogoś, żeby go zastąpił w turnieju golfowym. Jackson wie, że jestem w tym niezły, Poza tym pomyślałem, że mógłbym ci pomóc.

- Mnie? W jaki sposób?

- Jeśli masz zamiar wydać się za jakiegoś milionera, mógłbym udzielić ci paru rad, coś w rodzaju konsultacji. Dlaczego tak utykasz, kochanie? Miałaś jakiś wypadek? Te buty na wysokich obcasach są bardzo ładne, ale tutaj chyba niezbyt praktyczne.

- Nie miałam żadnego wypadku - odparła przez zaciśnięte zęby, wkładając klucz w drzwi. - Jeździłam konno i jestem trochę zeszywniała. Zrobię sobie kąpiel i drinka i wszystko będzie dobrze. Bardzo ci dziękuję za ofertę, ale nie potrzebuję żadnych konsultacji.

- Wyglądasz, jakby raczej potrzebny był ci masaż.

- To prawda - przyznała, krzywiąc się z bólu. - Czy to jest tutaj możliwe?

- Zobaczę, co się da załatwić, a ty weź kąpiel.

- Dzięki, Kyle. Jesteś kochany.

- Nie ma za co. W końcu po to ma się przyjaciół.

Czuła, że nogi się pod nią trzęsą, więc zdjęła kurtkę i pospieszyła do łazienki, chcąc tam dotrzeć, zanim mięśnie całkiem odmówią jej posłuszeństwa. Puściła wodę do wanny i usiadła, żeby zdjąć buty. Jęknęła głośno z bólu. Spróbowała poradzić sobie inaczej, ale też bez powodzenia.

- Irish? Nic ci nie jest? - zawołał Kyle, stukając do drzwi łazienki.

- Nie.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Chciała odpowiedzieć przecząco i uratować resztki dumy, ale rzeczywiście potrzebowała jego pomocy. Nie mogła przecież kąpać się w wysokich butach i dżinsach, ale w żaden sposób nie potrafiła sama ich zdjąć.

- Irish?

- Co takiego?

- Kochanie, mam ci pomóc?

- Nie jestem żadnym kochaniem. Tak, pomóż mi.

- Mogę wejść?

- Chyba będziesz musiał - odparła z westchnieniem. -Tylko nie waż się śmiać - dodała, kiedy otwierał drzwi.

- Wcale się nie śmieję. Co się stało?

- Cztery godziny wyszukanych średniowiecznych tortur nie byłyby gorsze od siedzenia na tym przeklętym koniu.

- Cztery godziny? I to pierwszy raz w życiu?

Przytaknęła.

- Co za idiota bierze nowicjusza na czterogodziną jazdę?

- Jackson. Ale to nie jego wina. Powiedziałam mu, że umiem jeździć.

Chociaż jestem pewna, że domyślił się, że trochę minęłam się z prawdą, kiedy spadłam z konia za drugim razem.

- Jak to?

- No bo za pierwszym razem koń stąpnął w dziurę i Jackson powiedział, że to się może przytrafić każdemu. Chociaż i tak czułam się upokorzona. Nie jestem pewna, jak to było za drugim razem, ale on powiedział, że lepiej tu tym zakończyć. Nie uwierzysz, jak mi ulżyło. Nie rozumiem, jak ludzie mogą chcieć jeździć na tych stworach.

Kyle zaklął cicho i zakręcił kran.

- Jak mogę ci pomóc?

- Proszę, nie śmieję się ze mnie, ale nie mogę zdjąć butów.

- Gdzieżbym śmiał.

Przyklęknął i ostrożnie zdjął jej buty.

- Bosko - westchnęła, poruszając palcami u stóp.
- Poradzisz sobie z džinsami?
- Tak sądzę.
- No to zobaczmy.

Irish była przyzwyczajona od lat, żeby ubierać się i rozbierać na oczach dziesiątków ludzi, ale teraz nie wiadomo dlaczego ogarnął ją wstyd.

- Odwróć się.

Kyle wznosił oczy w górę, ale posłusznie odwrócił się tyłem. Rozpięła ciasno przylegające do ciała spodnie i spróbowała je zsunąć, ale okazało się, że nie może. Słyszając jęk, Kyle znów zaklął i odwrócił się do niej.

- Kyle!

- Nie bądź taka wstydliva. Jeśli teraz nie zajmiemy się twoimi obrażeniami, to jutro nie wstaniesz z łóżka. Wyobraź sobie, że jestem lekarzem.

Nie miała wyboru. Z miną wytrawnego pokerzysty pozwoliła, aby zdjął jej džinsy. Potem bez słowa chwyciła ręcznik, okręciła się wpół i zsunęła majtki. Następnie stała sztywno, aż Kyle zabrał je podobnie jak spodnie.

- Dziękuję. Z resztą sobie poradzę.
- Na pewno?
- Na pewno. Dziękuję ci.
- Dasz radę sama wejść do wanny?

- Tak, poradzę sobie. Dziękuję. - Myślała, że Kyle teraz wyjdzie, ale on najwidoczniej nie miał takiego zamiaru, tylko zaczął grzebać po szafkach w łazience. - Czego szukasz?

- Soli do kąpieli, ale nie mogę znaleźć. Jackson powinien mieć coś u siebie. Pójdę sprawdzić.

- Ani mi się waź! Nie wolno ci nic mówić. Pomyśli, że jestem kompletną idiotką.

- Nie bój się, kochanie - powiedział i znenacka pocałował czubek jej nosa. - Milczę jak grób.

- Przestań z tym „kochaniem”. Dopiero co się poznaliśmy i mamy być najwyżej przyjaciółmi.

- Będzie, jak zechcesz - odparł. Zirytował ją jego porozumiewawczy uśmiech.

Kiedy wreszcie wyszedł, rozebrała się do końca i weszła do wanny. Wymagało to sporego wysiłku, ale przy akompaniamencie „ochów” i Jęków jakoś udało jej się tego dokonać. Gdy tylko zanurzyła się w gorącej wodzie, od razu zrobiło jej się lepiej. Wlała do niej trochę aromatycznego olejku, położyła się, opierając głowę o brzeg wanny, i przymknąwszy oczy, przez kilka minut rozkoszowała się kąpielą.

- Lepiej się czujesz?

Irish wrzasnęła i spróbowała zasłonić się rękami.

- Kyle! Co ty tu robisz?

- Sole do kąpieli. - Pokazał jej spory pojemnik, - Dzięki nim ból znacznie się zmniejszy. Jackson ma tego mnóstwo, tak że nic nie zauważy.

- Dziękuję. A teraz czy wreszcie mógłbyś zostawić mnie samą?

- Za chwilę. Muszę przecież wrzucić to do wody. Mówiłem ci, myśl, że jestem lekarzem.

Wcale nie wyglądał na lekarza w tej błękitnej koszuli, której kolor podkreślał jeszcze jego cudowne oczy, w obcisłych dżinsach i z tym swoim olśniewającym uśmiechem.

- Ja... jakoś nie potrafię.

- No to, że jestem twoim starym przyjacielem. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Tak.

- No więc widzisz. - Otworzył pojemnik i zaczął wsypywać powoli do wody białe kryształki. Po chwili usłyszeli pukanie do drzwi. - Ja to załatwię - powiedział.

- Ależ Kyle, nie chcę, żeby ktoś cię tu zobaczył...

- Nie bój się, to tylko barman.

- Jak to barman? - zapytała, ale już go nie było. Po chwili Kyle wrócił z tacą.

- Wspominałaś o drinku, więc pozwoliłem sobie zamówić coś. Odpowiada ci gimlet?

- Wspaniale.

Postawił szklanekę na brzegu wanny.

- Odpocznij sobie jeszcze pół godziny, a ja postaram się załatwić wszystko, co potrzebne do masażu.

Irish wypila pierwszy łyk. Był lodowato zimny, cierpki i w ogóle smakował wspaniale.

- Ach, jak cudownie. Naprawdę zdołasz tak szybko postarać się o masażystkę?

- Wszystko załatwione, ko... Irish. Odpoczywaj, a resztę zostaw mnie.

Owinęła się ręcznikiem kąpielowym i wyjrzała z łazienki. W pokoju zobaczyła Kyle'a, który siedział w fotelu i czytał gazetę. Poza nim nie było nikogo.

Kyle spostrzegł ją, uśmiechnął się i odłożył pismo.

- Jesteś gotowa?

- Ale gdzie jest masażystka?

- Masażysta. Właśnie stoi przed tobą. Oliwka już jest zagrzana i w ogóle wszystko przygotowane. - Wskazał ręką łóżko, na którym pościel była odsunięta na jedną stronę, a prześcieradło przykryte drugim, złożonym na pół. Na nocnym stoliku leżały ręczniki i stały różne buteleczki.

- O, nie. Nie ma mowy - powiedziała, cofając się przed nim.

- Ależ kochanie, ja bardzo dobrze masuję. Słowo honoru.

Usta miała suche, a serce zaczęło jej walić jak szalone.

- Nie sądzę, żeby to było... właściwe.

- Dlaczego? Przecież Jesteśmy przyjaciółmi.

- Tak, ale to zbyt duża poufałość. Nie, to nie byłoby rozsądne.

Powiedziałam ci, że przyjechałam tu, żeby znaleźć bogatego męża.

- Nie rozumiem, jaki w tym problem.

- W takim razie jesteś idiotką. Świetnie wiesz, że my...

- Że my co? - spytał, uśmiechając się kącikiem ust. - Płoniemy jak pochodnia?

- Oczywiście, że nie! - zaprotestowała, szczerzej owijając się ręcznikiem. - Setki razy powtarzałam ci, że między nami możliwa jest tylko przyjaźń. Musisz wreszcie wbić to sobie do głowy.

- Kochanie, nie musisz tak krzyczeć. Wszystko rozumiem. Jesteśmy tylko przyjaciółmi i nigdy nie będzie nic między nami, bo nie jestem dla ciebie dostatecznie bogaty. Nie chcesz, żebym cię masował, ponieważ boisz się, że jeśli poczujesz moje ręce na ciele, to możesz stracić głowę. Tak?

- Tak. Nie! Nigdy w życiu! Zrób mi wreszcie ten cholerny masaż. Jesteś dla mnie kimś w rodzaju lekarza. - Z zadartą dumnie głową pomaszerowała do łóżka i wyciągnęła się na brzuchu. -I nie mów do mnie kochanie".

- Dobrze, skarbie.

Ściągnął z niej okrycie, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, owinał jej pośladki suchym, ciepłym ręcznikiem.

- Zaczniemy od stóp - powiedział, unosząc w górę jej nogi i rozsmarowując na niej ciepły płyn.

W porządku, od masażu stóp jeszcze nikomu nic się nie stało, pomyślała, ale już za chwilę musiała zmienić zdanie. Okazało się, że one też mogą należeć do stref erogennych. Kiedy zaś Kyle zaczął dotykać kostek i łydek, aż zagryzła zęby, żeby nie wzdychać z rozkoszy. Te jego cudowne dłonie miały chyba na nią jakiś magiczny wpływ i wywoływały dzikie, erotyczne wizje.

Ręce przesunęły się wyżej, a ona mało nie wyskoczyła z łóżka. Boże, dłużej już nie wytrzyma. Zaczęła drżeć.

- Odpręż się.

- Przecież to robię!

Kyle tylko zachichotał. Niech go cholera! I pomimo wszystko poczuła, że zaczyna się odprężać. Napięcie powoli opuszczało jej ciało. Właściwie powinna wyrzucić go za drzwi, ale ciepły płyn i jego delikatne dłonie wywierały taki cudowny efekt, że chciała poczekać jeszcze trochę.

Napięcie zniknęło, mięśnie stały się miękkie. Czowała się jak zanurzona w ciepłym, gęstym morzu z bitej śmietany.

A kiedy Kyle zdjął z niej ręcznik i zaczął masować jeszcze wyżej, nie potrafiła zaprotestować.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jeszcze długo po tym, kiedy poczuł, że jej mięśnie rozluźniły się, masował ją delikatnie, rozkoszując się dotykiem gładkiej skóry koloru białej porcelany z lekką domieszką złotego miodu. Na biodrze miała siniaki od upadku z konia, zaś na prawej łopatce zauważył trzy niewielkie, ułożone w trójkąt ciemniejsze punkty.

Dziwne punkty.

Dotknął ich delikatnie opuszkami palców. Pragnął przycisnąć do nich wargi, ale nie odważył się., Przecież mu zaufała.

- Irish - szepnął.

Nie poruszyła się. Dzięki Bogu, zasnęła. Przestał jej dotykać i przyglądał się teraz jej profilowi, zwróconemu w jego stronę. Była bez makijażu i dzięki temu mógł dokładnie obejrzeć widoczne teraz blizny. Targnął nim gniew, kiedy uzmysłowił sobie, przez jaką mękę - fizyczną i psychiczną - musiała przejść. Co za zwyrodnialec mógł zrobić coś takiego?

Czuł w sobie tak wielką czułość, aż ścisnęło go w gardle. Nie mógł znieść myśli, że ktoś mógłby jeszcze raz ją skrzywdzić, przyczynić jej kolejnych cierpień, zniszczyć pogodę ducha. Nawet wspomnienie Jacksona i tej niemądrej konnej przejażdżki wywoływało gniew. Narastała w nim przemożna potrzeba opiekowania się nią, chronienia, obrony ze wszystkich sił, aż do ostatniej kropli krwi.

Uśmiechnął się, kiedy pomyślał, jaka byłaby jej reakcja, gdyby powiedział jej o tym wszystkim. Pewnie wściekłaby się. Ale to nie zmieniało faktu, że takich uczuć doświadczał i to po raz pierwszy w życiu.

A może, po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochał? Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego to stało się właśnie teraz, wobec tej właśnie kobiety, ale nie miał zamiaru tego się wypierać.

Bardzo ostrożnie pochylił się i dotknął wargami blizn, a potem przykrył Irish prześcieradłem. Powinna odpocząć. Później do niej zajrzy. Zasunął żaluzje i na palcach wyszedł z pokoju. Kiedy cicho zamykał drzwi, poczuł na ramieniu czyjaś rękę.

- Przyłapałem cię - powiedział Jackson, chichocząc. - Co to, wyslizgujesz się ukradkiem z pokoju pięknej pani?

Targnął nim nagły gniew.

- Ty draniu! - warknął i nie namyślając się, uderzył swojego kuzyna. Jackson zachwiał się i oparł o ścianę.

- O co ci chodzi, do cholery? - spytał ze zdziwieniem, pocierając bolący podbródek.

- Masz brudne myśli i brudny język, a poza tym o mało nie zabiłeś Irish, każąc jej jeździć na tym cholernym koniu. Ostatkiem sił doszła do swojego pokoju.

- Słuchaj, stary, przepraszam za to, co powiedziałem. To miał być żart.

- Jak widzisz, jakoś się nie śmieję. - Kyle nie dawał się tak łatwo udobruchać. - I powiedz mi, dlaczego zafundowałeś jej czterogodzinną przejażdżkę? Przecież musiałeś od razu spostrzec, że nie umie jeździć?

- Jasne, że widziałem, ale nie miałem innego wyjścia, do cholery! Tutaj wszyscy faceci ślinili się na jej widok, włącznie z Mattem. Chciałem działać na twoją korzyść i trzymać ją z dala od chłopaków. Niektórzy z nich są szybcy. Wymyśliłem więc tę przejażdżkę, a ona przecież

powiedziała, że umie jeździć. Kiedy zobaczyłem, że nie odróżnia tyłu konia od przodu, nie wiedziałem, co mam dalej robić. Byłoby jej głupio, że przyłapałem ją na kłamstwie. Czy coś jej się stało?

- Tak, stało. Jest cała posiniaczona i ledwo może chodzić.

- Może wezwać lekarza?

- Jackson, ja jestem lekarzem.

- Ach, no tak... ale ty jesteś chirurgiem plastycznym.

- Nie trzeba wołać ortopedy, żeby zdiagnozować posiniaczony tyłek.

Wiesz, Jackson, jak na takiego mądrego faceta, czasami jesteś głupszy niż but. Mam nadzieję, że ona poda cię do sądu za twoją tępotę.

- Ty naprawdę oszalałeś na jej punkcie, prawda?

Kyle odetchnął głęboko. Powoli przechodziła mu złość. Spuścił głowę.

- Tak. Owszem. Ale ona wbiła sobie do głowy, że wyjdzie za milionera, i boję się, że parę dni wśród was sprawi, że zostanę wyrolowany.

- Jeśli już mowa o tępotcie - zaczął Jackson powoli - to nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie powiesz jej, że też jesteś bogaty. Skończą się te twoje katusze.

- Przecież już ci tłumaczyłem. Mam powody, żeby jeszcze jej o tym nie mówić, więc póki co trzymaj język za zębami. Aha, przy okazji, udawaj, że nic nie wiesz o jej obrażeniach, po co ma się czuć jeszcze bardziej upokorzona.

- Dobra. Co jeszcze?

- Wszystko. Dzięki i przepraszam za tamten cios - dodał Kyle, śmiejąc się cicho. - Chcesz okład z lodu?

- Obejdzie się. Jakoś to przeżyję.
- Gdzie mam się zakwaterować?
- Tutaj, obok Irish. - Jackson wskazał palcem sąsiednie drzwi. -

Buddy już tam wrzucił twoje graty. Chodźmy na dół. Dziś gramy w pokera, a ja czuję, że szczęście będzie mi sprzyjało.

Irish nie wiedziała, co ją obudziło. Może to był głód, a może zapach róż albo erotyczny sen, ale na pewno coś wyrwało ją ze snu. Spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem stwierdziła, że już dochodzi ósma. Nic dziwnego, że żołądek skręcał jej się z głodu. Musi się pospieszyć, żeby zdążyć na kolację.

Odrzuciła przykrycie i wtedy zobaczyła, że spała nago. Przypomniała sobie, jak do tego doszło, i aż jęknęła. Naprawdę dopuściła do tego, żeby Kyle robił jej masaż? A ona leżała tak bez niczego, no może poza małym ręcznikiem?

Przecież to czysty obłąd! Nic dziwnego, że miała takie erotyczne sny. Dotyk jego rąk był wprost czarodziejski. Nie podobało się to jej, a raczej przeciwnie, za bardzo podobało. To się musi wreszcie skończyć.

Jeszcze raz popatrzyła na zegarek i wtedy spostrzegła kwiaty. Jaskrawożółte polne kwiatki, troszkę przywiedle, włożone do szklanki z wodą. Obok leżała kartka.

Od Kyle'a. Pisał, że spotkają się na kolacji.

Jakie to miłe.

Nie potrafiła zapanować nad czułym uśmiechem, kiedy wyobraziła sobie, jak zrywa dla niej kwiatki.

Nie! Wybij go sobie z głowy. Myśl o Jacksonie albo Jimie, Aaronie czy tamtym jakimś Spudzie. O tych, którzy mają solidne konta w bankach.

Myśl o posiadłości w Dallas czy Houston lub też w San Antonio. O cadillaku albo BMW. O brylantach, a nie o jakichś tam polnych kwiatkach.

Poruszając się powoli, ostrożnie usiadła na łóżku. Wciąż czuła się sztywna i obolała, ale dało się jakoś wytrzymać. Zsunęła nogi na podłogę i wstała. Jak na razie, całkiem nieźle. Poszła do łazienki po szlafrok i zdała sobie sprawę, że przestała utykać. Kyle naprawdę świetnie to zrobił, ale obiecała sobie, że ostatni raz pozwoliła mu się dotknąć. On jest głównym zagrożeniem dla jej planów.

Umalowała się starannie, a potem włożyła piękne jedwabne majteczki i bluzkę bez rękawów w swoim ulubionym kolorze jaskrawej zieleni. Skończyła się ubierać i wyszła z łazienki, po czym nagle stanęła jak wryta. Pokój tonął w kwiatach. Przeważnie były to czerwone róże, zaś żaden z bukietów nie zawierał mniej niż ze dwadzieścia dorodnych pączków na długich łodygach. Zaczęła czytać karty i okazało się, że herbaciane róże dostała od Jacksona wraz ze słowami powitaniu w Crow's Nest oraz od Mitcha, który - o ile dobrze pamiętała - był kiedyś zawodowym graczem w futbol, a teraz hodował konie. On z kolei zapraszał ją na kolację.

Czerwone róże dostała od Jima, Aarona, Carltona i Spuda, a wszyscy oni także dołączyli zaproszenia na kolację.

Na stoliku znalazła duże pudło, zapakowane w złoty papier, z karteczką od Matta Crowsa, w której zapewniał ją, że ma tego dużo więcej. Roześmiała się, gdyż bez zaglądania do środka wiedziała, że znajdzie tam parę kilo krówek.

Zobaczyła jeszcze jedno pudełko - tym razem malutkie, leżące obok butelki wyśmienitego szampana. W środku był złoty wisiołek zawieszony na delikatnym łańcuszku, w kształcie stanu Teksas, zaś w miejscu, gdzie przypuszczalnie miałyby znajdować się Dallas, widniał brylant, czy też coś, co go z powodzeniem udawało. Ten prezent pochodził od Noaha Birchfielda, który chciał pokazać jej Dallas, a na razie proponował wspólne wypicie szampana,

Noah Birchfield. Dallas. Bankowość? Tak, banki i ubezpieczenia. Trochę łysieje, ale co tam, włosy nie są najważniejsze. Mówi się, że łysi są świetnymi kochankami. Tak, Noah nadaje się bardzo dobrze.

Zapinając łańcuszek na szyi, zrobiła w myśli listę odpowiednich kandydatów. Prawie wszyscy przysłali jej kwiaty albo prezenty, z wyjątkiem Harve'a, Boba i Maca. Zupełnie nieźle. Jackson był oczywiście na pierwszym miejscu, ale w razie gdyby to nie wypaliło, ma w odwodzie jeszcze siedmiu milionerów. Co za dzień! Całe życie o tym marzyła. Zaśmiała się cicho z radości.

Już miała wychodzić, kiedy usłyszała delikatne pukanie i zaraz potem klucz przekręcił się w zamku, a drzwi zaczęły się uchylać. Wielki Boże, nie zamknęła na zasuwę!

Strach całkowicie ją sparaliżował. Drzwi otworzyły się całkiem i Irish wrzasnęła.

Intruz też wrzasnął. Była to kobieta w średnim wieku, z upiętymi w ogonek blond włosami.

- O mój Boże, przepraszam. Myślałam, że pani jeszcze śpi. Wystraszyłam się śmiertelnie. Jestem Pat. Pracuję tutaj i dzisiaj mało nóg

nie pogubiłam, tak biegałam w kółko z kwiatami i innymi rzeczami. I jeszcze ten Kyle powiedział, że obedrze mnie ze skóry, jeśli panią obudzę.

Pat śmiała się dobrodusznie, a Irish poczuła, że od razu ją polubiła.

- Nie wierzę, żeby to zrobił.

- Ja też nie, ale sama nie chciałam pani przeszkadzać. Mówił, że pani nie czuje się najlepiej, ale tamci na dole wciąż posyłali mnie z prezentami.

- Spojrzała na trzymane w ręce pudełko. - Został już tylko papier ze świąt Bożego Narodzenia, ale pan Mac wolał, żeby dostarczyć to pani jak najprędzej. Nie chciał, żeby inni go ubiegli. Tak, oni wszyscy wciąż współzawodniczą ze sobą. Proszę - dodała, wręczając Irish paczkę.

- Dziękuję i przepraszam za ten kłopot.

- Żaden kłopot, Cieszę się, że mogłam to zrobić. Zejdzie pani na dół? Oni nie złączą kolacji bez pani, a moim zdaniem powinni prędko coś zjeść, żeby zneutralizować to morze whisky, które zdążyli już wypić.

- Za chwilę będę na dole - powiedziała Irish śmiejąc się. Kiedy została sama, otworzyła paczkę. W środku znalazła książkę Maca o tym, jak znajduje zatopiony galeon ze skarbami. Napisał dla niej kwiecistą dedykację, w której stwierdzał, że jest cenniejsza niż największy piracki skarb. Między kartkami błyszczał złoty dublon.

Zaśmiała się, rzuciła monetę w górę i zręcznie ją złapała. W takim razie jest ośmiu milionerów. Włożyła sobie monetę za dekollet, żeby przyniosła jej szczęście, i wyszła z pokoju nucąc: „Brylanty są najlepszymi przyjaciółmi kobiety”.

Kyle od razu wyczuł, że weszła do pokoju, Zorientował się, gdyż Spud Hall przerwał w pół słowa dowcip, który właśnie opowiadał i zerwał

się z miejsca, zaś Noah, Aaron, Mac i Carlton spojrzeli w stronę drzwi i również zamarli. Pozostali obecni też zerwali się na nogi.

Po chwili wszyscy, oprócz Jacksona i samego Kyle'a, na wyścigi rzucili się w stronę Irish, przepychając się łokciami Kyle jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego. Dorośli mężczyźni, zajmujący się poważnymi interesami, zachowywali się jak smarkacze na koncercie rockowym.

- Co się z nimi dzieje? - spytał Jacksona. - Można by pomyśleć, że nigdy nie widzieli ładnej kobiety.

- Musisz przyznać, że Irish nie jest po prostu „ładną kobietą”. Poza tym sam wiesz, że chłopcy lubią współzawodnictwo. Sam mam ochotę stanąć do zawodów.

- Jakich zawodów?

- Jest zakład, kto umówi się z nią na kolację. W puli mamy dziesięć tysięcy dolarów.

- Chyba zaduszą ją, zanim zdąży się zdecydować. Chodź musisz pomóc mi wydostać ją z ich szponów. W końcu to twoi kumple.

Jackson wstał i podszedł do zwartej grupki.

- No dobra, chłopaki. A teraz odsuńcie się, żeby pan mogła złapać oddech.

- Ruszaj się - warknął Kyle, dając Carltonowi kuksańca łokciem. - Zróbcie trochę miejsca.

Irish jeszcze nigdy nie ucieszyła się tak bardzo z czyjegoś widoku jak w chwili, gdy ujrzała Kyle'a i Jacksona, robiących sobie miejsce w otaczającej ją ciżbie. Przez pierwszą chwilę czuła się jak Scarlett O'Hara na pikniku, ale już zaczęła ogarniać ją panika.

- Dziękuję - powiedziała swoim wybawicielom. - Czułam się trochę przytłoczona tymi dowodami sympatii.

- Ej, Jackson - odezwał się Spud. - Chcesz wygrać, a nawet nie ma cię w puli.

Irish patrzyła na nich, wyraźnie nic nie rozumiejąc.

- Każdy ze zgromadzonych tu panów chciałby dostąpić zaszczytu zjedzenia z tobą kolacji - wyjaśnił Kyle. - Najlepiej wybierz kogoś i skróć ich męki.

Patrzyła na wyczekujące twarze. W pierwszym odruchu zapragnęła wybrać Jacksona, ale przecież i pozostali byli tacy mili, przysłali jej kwiaty i nie mogła ich odrzucić.

- Nie potrafię podjąć takiej decyzji.

- A może wrzucimy tu nasze nazwiska? - zaproponował Jackson, zdejmując z wieszaka czarny kapelusz. - Irish będzie ciągnęła. Możemy też wybrać następnego, na czas deseru oraz kogoś, z kim później pójdzie na drinka.

- Ale kto zgarnia pulę? - zapytał Mac.

- Ten, kto pierwszy zostanie wylosowany - wyjaśnił Jackson. - Jeszcze tylko dorzucę za siebie i Kyle'a.

- Jaką pulę? - Irish zapytała Kyle'a szeptem.

- Z zakładami, kto cię zaprosi na kolację.

Wszyscy wyjmowali z kieszeni wizytówki i wrzucali do kapelusza. Kyle automatycznie sięgnął do kieszeni, ale powstrzymał się w porę. Przecież nie może użyć wizytówki z napisem: „dr Kyle Rutledge”. Wziął od Jacksona jego wizytówkę, przekreślił i wypisał swoje nazwisko na odwrocie.

- Dlaczego to robisz? - spytała go.

- Zawsze mogę zapłacić gotówką - odparł, mrugając do niej porozumiewawczo.

- Wielkie dzięki - odparła zgryźliwie. - Czuję się jak nagroda w pudełku z krakersami.

- To tylko przyjacielski zakład - wyjaśnił Spud. - A zresztą, czy wygram, czy nie, zapraszam panią na jutrzejszą kolację.

- Na pewno - zaprotestował Aaron. - Ja też chciałem to zrobić.

- Ja też - włączył się Mitch Harris.

- Spokojnie, chłopcy - mitygował ich Jackson. - To ustalimy później.

- Potrzęsnał kartami i podsunął Irish kapelusz. - A może uda nam się namówić naszą piękną panią na pocałunek dla zwycięzcy? - dodał, puszczając do niej oko.

Kyle burknął coś do niego, więc Irish chcąc zrobić na przekór, uśmiechnęła się uroczo.

- Z przyjemnością - powiedziała.

- No to ciągnij, złotko - odezwał się Carlton, zacierając ręce. - Czuję, że będę miał szczęście.

Wszyscy ucichli, kiedy Irish włożyła rękę do kapelusza i jeszcze raz zamieszała zawartość. Czowała, że może to być najważniejsza chwila w jej życiu, więc zamknęła oczy i wymówiła w myśli krótką modlitwę. Drżącymi palcami namacała jedną kartę, ale okazało się, że to dwie, zlepione razem. Rozdzieliła je i wyjęła jedną, ale była zbyt zdenerwowana, by przeczytać, więc stała, przyciskając ją do piersi.

- Nie trzymaj nas tak w napięciu - ponaglił ją Spud. - Kto jest tym szczęśliwcem?

- Przeczytaj - powiedziała, podając wizytówkę Jacksonowi. Jackson spojrzał na nazwisko, uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko.

- No, proszę... - powiedział.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Kyle Rutledge? - powiedziała Irish, wstrząśnięta. - Ale przecież...

- Kochanie, nie można uniknąć przeznaczenia - odparł Kyle, chichocząc lekko.

- Ale...

- Ty szczęściarzu - odezwał się Carlton, klepiąc go po plecach. - Ej, Jackson, nie odkładaj jeszcze kapelusza. Zostały nam dwa ciągnięcia.

- Proszę, Irish. Wybierz partnera do deseru.

Sięgnęła do środka i wyjęła wizytówkę. Tym razem spojrzała na nią i przeczytała nazwisko: Vernon Hall.

- O, cholera! - wykrzyknął Spud. - To ja.

Jackson ponownie podsunął jej kapelusz.

- A teraz do drinka.

- Noah Birchfield - przeczytała po wyjęciu kolejnej karty.

- Okazuje się, że wybrałem odpowiedni prezent powiedział wyczytany.

- Tak wygląda - przyznała Irish. - Tylko muszę włożyć go do lodu.

- Powiem Pat, żeby się tym zajęła - powiedział Noah.

- Nie wiem, o czym mówicie, ale wcale nie brzmi to niewinnie - odezwał się Harve. - Jackson, a co z nami pozostałymi? Kiedy przyjdzie nasza kolej?

- Uważaj, bo zadzwonię do Esther Ann i powiem jej, jak się sprawujesz! - zawołał Mac.

- A niby jak się sprawuję? Ta pani przeprowadza wywiady dla swojego pisma, prawda?

- Zgadza się - odparła Irish ze śmiechem.

- Wiecie co? Przy śniadaniu ustalimy plan zajęć, który będzie obowiązywał od jutra - zaproponował Jackson. - Zapiszemy rozkład dnia na tablicy z ogłoszeniami.

- Ale kto ją zaprosi na śniadanie? - spytał Aaron.

- Ja - odparł Jackson.

- Niby z jakiej racji? Przecież nie było żadnego losowania.

- No to co? Podasz mnie do sądu?

Tymczasem Kyle zaoferował jej ramię.

- Czy możemy pójść wreszcie na naszą kolację?

Irish ostentacyjnie przewróciła oczami i wzięła go pod ramię.

- Chętnie bym cię udusiła - syknęła, kiedy szli do stolika w oddzielonej alkwie. - Po jaką cholere wrzuciłeś swoje nazwisko do kapelusza?

- Mówiłem ci, że stać mnie jeszcze na taki zakład - odparł, uśmiechając się w taki sposób, że serce zabiło gwałtownie. - A zresztą, lubię z tobą przebywać.

- Przecież wiesz, że szukam milionera. Chyba powiedziałam ci to wyraźnie.

- Oczywiście, pamiętam doskonale. Ale mogę ci się przydać. Opowiem ci o każdym z tych gości i zobaczysz, że od kilku z nich zaraz będziesz chciała trzymać się z daleka.

- Czyżby?

- O, tak. - Kyle odsunął krzesło, żeby mogła usiąść przy stoliku. - Założę się, że nie wiesz o tym, że Mac siedział w więzieniu?

- Jak to?

- A właśnie. Uważam, że potrzebna ci jest moja pomoc, jeśli chcesz złapać któregoś z tych facetów.

- Czy Jackson naprawdę tak pije? - spytała Irish szeptem. - Wcale tego po nim nie widać.

- Wierz mi, on jest prawdziwym alkoholikiem. Wolisz rybę czy stek?

- Rybę. A tak przy okazji, ile wygrałeś?

- Dwanaście tysięcy.

- Dwanaście tysięcy dolarów?

- Tak. Ziemniaki czy ryż?

- Ryż. To znaczy, że każdy włożył do puli tysiąc dolarów?

- Dokładnie. Masz ochotę na sałatę?

- Poproszę. Z niskokalorycznym sosem. Skąd wzięłeś tysiąc dolarów?

- Znikąd. Jackson założył za mnie.

- Czy to uczciwe?

- Pewnie, że tak. Przecież wygrałem, nie? Zresztą powiedział, że jeżeli przyjadę i zagram w golfa, to pokryje moje wszystkie wydatki. A to właśnie był wydatek. Wina?

- Poproszę. Wciąż jakoś mi się wydaje, że to nie całkiem w porządku. Jeśli pieniądze należały do Jacksona to on powinien dostać pulę.

- Jeszcze czego. Przecież wyciągnęłaś moje nazwisko, więc ja wygrałem. Takie były zasady. Zresztą nie przejmuj się tym. Dla Jacksona to żadna sprawa, on ma mnóstwo forsy.

Zbliżył się kelner i Kyle złożył zamówienie, U po chwili podano na początek wielki bochen świeżego, ciepłego chleba.

Jego zapach wydał się zgłodniałej Irish wprost niebiański. Ukroiła sobie spory kawał i posmarowała grubo masłem, po czym ugryzła duży kęs, żeby uciszyć skurcze żołądka.

- Moim zdaniem powinieneś chociaż zwrócić Jacksonowi dwa tysiące dolarów - odezwała się po chwili.

- A czy myślisz, że Malt Crow, czyli jego rodzony brat, zwróciłby mi pieniądze, gdyby wygrał? Jasne, że nie, i ja też nie zwrócę. Zresztą będą mi potrzebne, kiedy siądę z nimi do pokera, bo stawki mają cholernie wysokie.

- Co takiego? Chcesz grać tymi wszystkimi pieniędzmi w pokera? Nie wierzę.

- Potępiasz pokera?

- Nie, ale tylko wtedy, kiedy możesz sobie na to pozwolić, gdyby stawka wynosiła centa, to co innego, ale musisz pamiętać, że oni wszyscy mają miliony. Dla nich sto dolarów, to jak cent dla mnie czy dla ciebie. Nie dasz im rady. Uważam, że powinieneś włożyć te pieniądze na konto. Może Noah by ci poradził, jak je najlepiej zainwestować. W końcu on jest od tego specjalistą i wydaje mi się, że jest miły.

- Miły? - Kyle popatrzył na nią spod zmrużonych powiek. - Wcale tak nie sędzę. Dla mnie to on coś kręci. Zresztą, ludzie mówią, że to oszust.

- Kyle, coś ty! Na pewno nie.

- Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby to jednak była prawda. Aha, jeszcze uważaj na Spuda Halla.

- Jak to?

- Nie zdziwiłbym się, gdyby zbankrutował. Słyszałem, że jest winien dużo forsy.

- O, to przykra sprawa. Słuchaj, jeśli on tak rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, to może zwróciłbyś mu jego tysiąc. Nie można grać o pieniądze, kiedy cała egzystencja jest zagrożona.

- Coś ty. Jest na to za dumny, a poza tym, tysiąc dolców to dla niego kropla w morzu. Ma milionowe długi. Aha, podobno Carlton Gramercy też kiepsko stoi. Ostatnio pogorszyła się koniunktura dla firm produkujących urządzenia do wydobywania ropy naftowej,

- Naprawdę?

- Tak. Być może oni obaj już wkrótce zwrócą karty członkowskie. A z kolei Mitch Harris... - Kyle znacząco uniósł brwi i pokręcił głową.

Irish pochyliła się do niego.

- Co chciałeś powiedzieć o Mitchu?

- Nie lubię powtarzać takich rzeczy. Zresztą, może to tylko plotka. O, jest wino.

Chociaż zżerała ją ciekawość, nie potrafiła z niego wydobyć nic więcej na temat Mitcha. Potem Kyle zmienił temat i nie poruszali już tamtych spraw, a on okazał się wspaniałym rozmówcą - miłym, interesującym, czarującym. Siedziała zasluchana, z oczami błyszczącymi jak gwiazdy, i przyglądała mu się. Widziała, że nie spuszcza wzroku z jej ust, a jego palec gładzi leżącą na stole łyżeczkę. Miała wrażenie, że czuje jego dotyk i to tak namacalnie, że zrobiło jej się gorąco i zaczęła się wiercić na krześle.

Oderwała oczy od tego palca i wypila łyk wina. Boże, dlaczego on jest taki przystojny. I na dodatek przy nim czuje się tak, jakby była

najpiękniejszą i najbardziej fascynującą kobietą na świecie. Wspomnienie jego pocałunków kazało przypuszczać, jak fantastycznie byłoby im razem. Pasowali do siebie jak ulał. Tylko...

Westchnęła bezgłośnie. Kyle miał wszystko, czego pragnęła, oprócz jednej rzeczy. Pieniądzy.

Dwanaście tysięcy dolarów to jeszcze nie majątek i nie zapewnia bezpieczeństwa, o jakie jej chodziło. A zresztą, i tak pewnie większość z tego przegra w pokera.

W życiu nie przyszłoby jej do głowy, że kiedy będzie otoczona wianuszkiem dziesięciu milionerów, którzy prześcigają się w staraniach o jej względy, ona wzdycha do jedyne go w okolicy faceta, który ma puste konto.

Musisz się opanować, powiedziała sobie. To nie jest odpowiedni dla ciebie mężczyzna. Nawet nie byłby w stanie kupić ci złotego pierścionka z brylantem.

Uśmiechnęła się promiennie, odsunęła krzesło i wstała.

- Kolacja była znakomita. Teraz wybaczone, ale muszę poszukać Vernona, któremu jestem winna deser i kawę.

- Przecież jeszcze nawet nie skończyliśmy przystawki. Spojrzała na talerz z nie dojedzoną sałatką i szybko usiadła, czując się niewypowiedzianie głupio.

- Zdenerwowana?

Spojrzała, czy przypadkiem nie naśmiewa się z niej, ale wcale tak nie było. Pewnie nie zauważył, że to jego obecność tak na nią działa.

- Może troszkę - odparła. - Nie onieśmiela cię towarzystwo tylu milionerów?

- Spokojnie - powiedział i wyciągnął rękę ponad stołem, żeby ucisnąć lekko jej dłoń. - Ci faceci są tacy sami jak inni śmiertelnicy. Chociaż... - ściszył głos i zaczął delikatnie gładzić jej palce, tak jak przedtem bawił się z łyżeczką - na twoim miejscu nie chciałbym przebywać sam na sam w odludnym miejscu z żadnym z nich.

- Dlaczego? - Zapytała nieswoim, zachrypniętym głosem i wyrwała mu dłoń. - I dlaczego nie?

- Pamiętaj, że om zawsze muszą ze sobą współzawodniczyć - odparł Kyle z niewinną miną. - Nie zdziwiłbym się, gdyby powstał zakład o coś innego i...

- Chcesz powiedzieć... że... że oni założyli się o to, kto pierwszy się ze mną prześpi?

- Kochanie, ja tego nie powiedziałem.

- Ale wyraźnie dałeś do zrozumienia!

- Zapomnij o tym, że w ogóle coś wspominałem. Naprawdę nie masz się czego obawiać. O, jest nasza ryba.

Irish była tak bardzo zdenerwowana, że żołądek chyba skręcił jej się w supeł. Nie mogła jeść, przełknęła tylko parę kęsów.

Dzięki Bogu, deser w towarzystwie Spuda przebiegł bez żadnych niespodzianek, Nie próbował zaciągnąć jej do swojego pokoju ani do ciemnego kąta. Zajadając się ciastem orzechowym, opowiadał jej o moście, który właśnie budował, i drużynie Dallas Cowboys. Spud był miłym człowiekiem, ale dla niej zbyt prostackim, nawet jeśli jego bankructwo było tylko plotką.

Teraz przyszła kolej na Noaha Birchfielda, który należał do trochę innej kategorii mężczyzn. Jako jeden z nielicznych nie nosił od rana do

wieczora kowbojskich butów i miał uprzejme, gładkie maniery. Zaprowadził ją do oddalonego stolika na bocznym tarasie. Na białym obrusie ujrzała świecę w kryształowym lichtarzu, szampan chłodzący się w srebrnym wiaderku, naczynia z serami i świeżymi truskawkami oblewanymi czekoladą.

- Jak pięknie - powiedziała, kiedy Noah podawał jej krzesło.

- To ty jesteś piękna.

Poczuła ciepło, kiedy pochylił się i pocałował ją w rękę. Światło załśniło na łysinie. Pomyślała, że nie tylko maniery ma gładkie. No cóż, bez wątplenia brak włosów nie jest tak dolegliwy jak brak pieniędzy. Poza tym, zawsze można sobie zafundować peruczkę.

- Bawimy się w podglądacza?

Kyle odwrócił się od okna i spojrzał na Jacksona ze złością.

- Są już przy trzecim kieliszku szampana i ten łajdak karmi ją truskawkami z ręki.

- Noah to niezły numer. Nie przepuści niczemu, co się rusza. Nie wiem, co on ma takiego, ale kobiety podobno za nim szaleją. Popatrz, zdaje się, że przypadli sobie do gustu.

- Do cholery, ona jest moja!

- W takim razie może byś jej o tym powiedział, bo na razie jest wyraźnie zainteresowana Noahem. Aha, tak przy okazji, wisisz mi na dwanaście tysięcy i pocałunek.

- O czym ty mówisz? Nic ci nie jestem winien, a już na pewno nie żadne pocałunki.

- Ja też się nie palę do takiej perspektywy - odparł Jackson chichocząc. - Słuchaj, kto z nas zawsze miał najwięcej szczęścia?

Kyle nie musiał się zastanawiać. Od zawsze było wiadomo, że Jackson. Nawet kiedy dziadek Pete dał wszystkim wnukom po milionie i obiecał, że dorzuci jeszcze dziesięć tym, którzy podwoją milion w ciągu roku, Jackson też zaufał swojej szczęśliwej gwiazdce. Nie zainwestował tych pieniędzy jak pozostali, tylko kupił za nie losy na loterii.

I wygrał jedenaście milionów dolarów.

- Co ma twoje szczęście do tego, że niby mam cię pocałować?

- Szczerze mówiąc, chodzi mi głównie o pieniądze, a tego całusa wolałbym od Irish Ellison.

- Jeszcze czego!

- Jak sądzisz, czyje nazwisko wyjęła Irish z kapelusza?

- Nie moje?

- Ano nie. Trochę oszukałem, kiedy poprosiła, żebym je przeczytał.

Ciekawe, dokąd oni idą? - zauważył Jackson, zaglądając przez okno.

- Czekał, zobaczę. Kyle odsunął kuzyna.

- Poszli ścieżką w stronę stawu.

- Jak on jej dotknie, to połamię mu nogi.

- Ty? Lekarz? - Jackson udał zdziwienie. - A co z przysięgą Hipokratesa?

- On nie jest moim pacjentem. Zobaczysz, że połamię mu kości. - Kyle odwrócił się i mszył do drzwi, słysząc za sobą śmiech Jacksona.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że spacer z Noahem nie był najlepszym pomysłem. Po pierwsze było ciemno i niewiele widziała, a po drugie, okazało się, że jej towarzysz wypił co najmniej o jeden kieliszek szampana za dużo. Podejrzewała, że pił jeszcze przed ich spotkaniem i

teraz już nie zachowywał się nienagannie. Kiedy objął ją w talii, a potem zsunął rękę niżej, odsunęła się i zaprotestowała.

- Tylko bez takich poufałości - powiedziała, starając się, żeby to zabrzmiało żartobliwie.

Znajdowali się na drewnianym mostku nad stawem i Noah przycisnął ją do barierki.

- Od razu kiedy cię zobaczyłem, marzyłem o dotyku tych wspaniałych ust. Chodź, pocałuj mnie.

Próbowała się wyrwać, ale on przytrzymał ją i zaczął całować w szyję. Ogarnęła ją panika. Uspokój się, powtarzała sobie w duchu. Przecież potrafisz poradzić sobie z taką sytuacją. On jest po prostu pijany i zebrało mu się na amory.

Schowała głowę w ramiona, żeby utrudnić mu dostęp do szyi, i usiłowała go odepchnąć.

- Noah, proszę, przestań. Wypiłeś trochę za dużo i teraz nie wiesz, co robisz.

- Och, wiem doskonale. Robię to, co oboje mieliśmy na myśli od samego początku, od pierwszej truskawki.

Jaka głupia była, że postanowiła z nim poflirtować! Czuła, że jego uścisk się wzmaga. Dobrze znany strach chwycił ją za gardło. Zaczęła wykręcać się i szarpać, żeby się uwolnić.

- Puść mnie. Proszę, puść mnie!

Wcisnął kolano między jej nogi, ręką rozerwał przód bluzki. W jednej chwili wróciło straszne wspomnienie - straciła panowanie nad sobą i zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

- Ty cholerny draniu! - rozległ się rozgniewany męski głos.

W jednej chwili była już wolna, ale nie potrafiła przestać krzyczeć. Usłyszała uderzenie, potem głośny plusk i naraz objęły ją czyjeś mocne ramiona. Czowała znajomy zapach, który odsuwał strach, otulał ją, uspokajał.

- Kyle? - wyjąkała, chwytając go za koszulę.

- Tak, kochanie, to ja. Uspokój się, już po wszystkim.

- Kyle... ja...

- Cśś... już dobrze.

- Co się stało? - spytał Jackson, który właśnie nadbiegł.

- Jak chcesz, to możesz wyciągnąć tego drania Birchfielda z jeziora, zanim się utopi, ale ostrzegam cię, że jeśli jeszcze kiedyś go zobaczę, to go zabiję.

- Do diabła z Birchfieldem - odparł Jackson. - Czy Irish coś się stało?

- Fizycznie chyba nie, ale psychicznie jest wykończona.

- Mam wezwać lekarza?

- Jackson, do cholery!

- Och, tak, zapomniałem. Słuchaj, zaprowadź ją do tego najbliższego domku. Jest pusty, a drzwi nie są zamknięte. Odpocznie sobie i uspokoi się, a ja tymczasem załatwię sprawę z Noahem.

Kyle zaniósł Irish do domku, zapalił lampę i usiadł na kanapie, wciąż trzymając ją w objęciach. Wczepiła się w niego kurczowo, szczykała zębami, usiłując coś powiedzieć.

- Cśś, kochanie. Wszystko w porządku. Zimno ci?

Irish gwałtownie pokiwała głową.

- Mam rozpalić w kominku?

Znów przytaknęła. Ale kiedy spróbował posadzić ją na kanapie i wstać, zadrzała i przytrzymała go jeszcze mocniej.

- Kochanie, nie mogę równocześnie być przy tobie i rozpalać w kominku - powiedział, delikatnie całując ją w czoło.

- To nie rozpalaj. Najważniejsze, żebyś mnie trzymał. Nie puszczaj mnie. Tak się przestraszyłam. Wróciły tamte wspomnienia... te okropne wspomnienia o tamtym mężczyźnie w Nowym Jorku. Włamał się do mojego mieszkania i próbował... chciał mnie zgwałcić. Broniłam się, więc zranił mnie nożem. - Głośno chwytała powietrze. - Pociął mi twarz. Krzyczałam tak głośno, że nie mogli mnie uspokoić. Kyle, trzymaj mnie. Trzymaj mnie mocno.

- Ćśś, trzymam cię. Nie pozwolę ci odejść. Tu jesteś bezpieczna.

Wciąż obejmując Irish, sięgnął jedną ręką po leżący na łóżku kilim, owinał nim ją i otulił. Przez dłuższy czas siedzieli tak po prostu, nic nie mówiąc. W ciszy słychać było jedynie ich oddechy i tykanie ściennego zegara. Po chwili Irish zaczęła się uspokajać, drżenie powoli ustawało.

- Nie zgwałcił mnie. Po prostu uciekł. Chirurg plastyczny naprawił mi twarz, a psychoterapeuta zreperował to, co się zepsuło w mojej głowie, i teraz jest już dobrze. Naprawdę dobrze.

- Oczywiście.

- Naprawdę. Jestem całkowicie wyleczona.

- Prawie.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Cierpiał, gdyż mógł tylko tyle dla niej zrobić, a tak bardzo pragnął trzymać ją w objęciach do końca świata. Rozumiał, przez jaki ból musiała przejść i jakie upiory przeszłości ją ścigają.

- Boże, czuję się jak ostatnia idiotka.

- Wiesz co - odparł, przyglądając jej się uważnie - wcale nie wyglądasz na idiotkę.

- A jak wyglądam?

- Jak piękna kobieta, którą śmiertelnie wystraszył parszywy łobuz.

- Na początku był bardzo miły - powiedziała, uśmiechając się i wtulając głowę w jego szyję. - Tylko potem okazało się, że jest pijany.

- To nie jest żadne usprawiedliwienie.

- Nie potrafiłam sobie poradzić z tą sytuacją i przez to moja reakcja była zbyt gwałtowna. A potem nagle naszło mnie wspomnienie tamtych strasznych chwil i wpadłam w panikę.

- Nawet jeśli weźmiemy poprawkę na twoje przejścia, to sam słyszałem, że powiedziałaś mu, żeby cię puścił, a on nie posłuchał. Przestań obwiniać siebie samą o to, że ten facet to gnojek. To nie była twoja wina. Jakbym złapał tego drania, to wykastrowałbym go tępym nożem i...

- Teraz ty przesadziłeś - przerwała mu z uśmiechem.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale słowa utknęły mu gdzieś w gardle. Ich oczy spotkały się. Patrzyli na siebie tak, jakby przepływał między nimi prąd elektryczny. Aż do bólu pragnął ją pocałować, ale wiedział, że teraz łatwo byłoby ją zranić, a za żadne skarby nie chciał jej na to narażać. Poza tym obawiał się, że nie skończyłoby się na pocałunku. Nie, to nie jest właściwy moment.

- O czym myślisz? - spytała szeptem.

- O niczym.

- Łgarz. Jestem ci winna pocałunek,

- Jak to?

- No tak, za wygranie puli.

Ich usta już kierowały się do siebie, jak przyciągane magnesem.

- Irish, ja nie sądzę...

- Słusznie, nie sądz. Po prostu mnie pocałuj.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kyle nie kazał sobie powtarzać tego dwa razy. Jego usta zaraz wzięły ją w posiadanie, a ona wyszła mu naprzeciw, czując się jak w niebie. Uzmysłowała sobie, że przecież nie tak miało być, po czym jeszcze mocniej przyciągnęła go do siebie.

Oboje oddychali coraz szybciej, pocałunki stawały się coraz gorętsze, aż wreszcie Kyle oderwał się od niej na chwilę.

- Irish, kochanie moje - wyszeptał. - Nie powinniśmy tego robić.

- Masz rację - odparła. - I nie wyobrażaj sobie, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Wiem, najdroższa.

- Chcę tylko, żebyś mi pomógł się uspokoić.

- Wiem.

Zdjął złoty łańcuszek z zarysem Teksasu, który miała na szyi, i upuścił na stolik. Irish jęknęła i wczepiła palce w jego gęste włosy, kiedy poczuła, jak całuje ją, posuwając się w głąb dekoltu.

- Kyle, proszę - odezwała się niemal bez tchu, przyciskając jego głowę do swych nabrzmiątych piersi.

- Proszę, co?

- Dotykaj mnie. Całuj mnie.

Rozpiął jej biustonosz i zsunął z ramion, a wtedy na podłogę potoczyła się złota moneta. Dotknął końcem języka czubka jej piersi.

- Tutaj?

-Tak. O, tak!

Kiedy jego wargi zamknęły się wokół stwardniałej brodawki i zaczęły ją lekko ssać, pomyślała, że długo tego nie wytrzyma.

- Czy to cię uspokaja?

- Och, tak, niebywale. Uspokój mnie jeszcze trochę. Nie wiadomo jak, ale po chwili ich ubrania wylądowały na podłodze. Potem nie było już miejsca na jej ciele, którego on by nie dotknął lub nie pocałował. Poczowała, że jej skóra stała się niezwykle wrażliwa.

- Ach, Kyle - westchnęła, znów chwytając go za włosy.

- Co, kochanie?

- Chcę ciebie. Chcę, żebyś mnie kochał.

- Jesteś pewna?

- Rany boskie, tak!

- Już nie czujesz bólu od tej jazdy?

- Jakiej znowu jazdy?

- Przecież jeździłaś konno z Jacksonem, spadłaś o potłukłaś się.

- Nic mi nie jest.

Jego pieszczoty sprawiły, że drżała z niecierpliwości i nie sądziła, że można doznawać tak wielkiego podniecenia. Nagle Kyle przerwał i zaklął cicho.

- Co się stało?

- Zapomniałem o zabezpieczeniu.

- Nic nie masz? - spytała, patrząc na niego z przestraciem.

- Jeszcze sprawdzę.

Podniósł z podłogi spodnie i pośpiesznie przeszukał kieszenie, a potem raz jeszcze zaklął.

- Nie stosujesz przypadkiem pigułki? - zapytał.

- Nie. Prezerwatyw też nie noszę w torebce.

- Poczekaj chwilę. Nie ruszaj się stąd.

- Dokąd idziesz?'

- Do łazienki. Przypomniało mi się, że te domki są wyposażone we wszystko, czego goście mogliby potrzebować, więc mam szansę coś tam znaleźć.

Na szczęście rzeczywiście tak było. Zanim Irish zdążyła ochłonąć i zdać sobie sprawę z tego, co zaraz miało nastąpić, on już był z powrotem przy niej i całował ją tak, że zapomniała o bożym świecie. Czuła się tak, jakby przez całe życie dążyła do tej właśnie chwili. Do tego, żeby być z nim. Nie istniało nic innego, świat stanął w miejscu, a każda sekunda była wiecznością.

Kochali się w takim zapamiętaniu, że zsunęli się z kanapy na podłogę, ale żadne nich nie zwróciło na to uwagi. Kyle szeptał jej do ucha słowa pełne miłości.

- Tak! - zawołała, kiedy zbliżała się kulminacja, a Kyle raz jeszcze powtórzył jej imię i razem popłynęli przez fale rozkoszy.

Leżeli potem długo, ciesząc się swoją wzajemną bliskością, a to uczucie było silniejsze, niż kiedykolwiek sobie mogła wyobrazić. W końcu jednak trzeba było wrócić do rzeczywistości, zwłaszcza że leżeli na podłodze, a Irish poczuła pod sobą własny but i jeszcze coś twardego, zaś Kyle wydawał się teraz niewiarygodnie ciężki.

Stęknęła z wysiłku, a on uniósł głowę, pocałował po kolei obie jej piersi i uniósł się, uwalniając ją od swego ciężaru.

- Jak to się stało, że znaleźliśmy się na podłodze? - spytał, znów zaczynając ją pieścić.

- Skąd ja mam wiedzieć? Kyle! Przestań.
- Nie lubisz, kiedy to robię? Myślałem, że ci to sprawia przyjemność.
- Tak, ale...

Zaczął ssać czubek piersi, a ona nie potrafiła powstrzymać westchnienia.

- A to lubisz?
- Co z tego, że lubię, kiedy...

Usta przesunęły się na drugą pierś i Irish zapomniała, co chce powiedzieć.

- Czujesz się uspokojona?
- Jak to, uspokojona?
- Widzę, że przede mną jeszcze sporo pracy,

Wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i uspokajał aż do rana.

Przez szparę w zasłonie wpadł promień światła i Irish gwałtownie otworzyła oczy. Czowała na sobie ciężar rumienia Kyle'a, a jego oddech łaskotał ją w szyję. Dobry Boże czy oni...

Tak. I to nawet kilka razy, a na dodatek było im ze sobą cudownie.

Czy ona zupełnie oszalała? Co ją napadło? Przecież miała szukać bogatego męża, a nie łózkowych przygód, choćby nawet tak wspaniałych. Kyle Rudedge nie jest z całą pewnością odpowiednim dla niej mężczyzną. Nie ma co do tego wątpliwości.

Jak przez mgłę przypomniawszy sobie jego słowa. Mówił, że ją kocha. A może to był sen? Nie, słyszała to kilka razy podczas tej burzliwej nocy. Czy ona też coś takiego mówiła? Nie, na pewno nie.

Przecież nie mogłaby zakochać się w Kyle'u! Co wtedy stałoby się z tak starannie przemyślanym planem? Mimo wszystko jednak miała dziwne, niejasne uczucie, że mogła coś nieopatrznie powiedzieć.

Energicznie potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić od siebie taką możliwość i wtedy Kyle poruszył się. Uniósł głowę, uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

- Dzień dobry, najdroższa. Mam nadzieję, że nic cię nie boli.

- Nie, nic.

Zerwała się z łóżka i owinęła prześcieradłem.

- Bardzo się spieszę - powiedziała. - Jestem umówiona na śniadanie z Jacksonem.

Kyle przekręcił się i wyciągnął na boku, podpierając się na łokciu. Był całkiem nagi i uśmiechał się, jakby czymś ubawiony.

- Zamiast tego moglibyśmy zjeść śniadanie w łóżku.

- O, nie! Nie uda ci się odwieść mnie od moich planów. Przez cały czas pamiętam, po co tu przyjechałam. Przyznaję, że noc minęła przyjemnie...

- Przyjemnie? - powtórzył Kyle kpiąco, unosząc w górę brew.

- Tak, przyjemnie. Bardzo miło, ale to o niczym nie świadczy.

Teraz już śmiał się w żywe oczy.

- Panie Rutledge! Zechce pan zetrzeć ten uśmiech z twarzy.

Powtarzam, że to o niczym nie świadczy. Byłam psychicznie rozstrojona i potrzebowałam ciebie, żeby dojść do równowagi. Jestem ci za to bardzo wdzięczna, ale to wszystko. Jeśli nawet coś wtedy powiedziałam, to i tak nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia?

- Niema. Czasami mówi się coś pod wpływem chwili, ale tak naprawdę, to nic nie znaczy, rozumiesz?

- Wszystko to, co ja mówiłem, było świadome i ma dla mnie wielkie znaczenie powiedział, patrząc na nią takim wzrokiem, że kolana zrobiły jej się miękkie.

- No cóż, ale dla mnie nie ma odparła czując, że policzki jej płoną. - To znaczy... dokładnie mówiąc, nie pamiętam już, co mówiłam. Ale powtarzam, jestem ci bardzo wdzięczna. Byłam naprawdę przerażona, Doznaję czasami takiego uczucia, nieraz nawet bez przyczyny, Nie chodziło lii tylko o zachowanie Noaha. Psychoterapeuta mówi, że to się skończy, kiedy odzyskam poczucie bezpieczeństwa.

- Rozumiem. A ty doszłaś do wniosku, że pomoże ci w tym parę milionów dolców.

- Właśnie. Dzięki temu można kupić wiele rzeczy zapewniających bezpieczeństwo: ogrodzenia, systemy alarmowe, psy, cokolwiek będzie potrzebne. Ale najważniejsze że wtedy będę miała poczucie wewnętrznego bezpieczeństwa, o, tutaj - dodała, pokazując na swoją pierś.

Kyle tym razem tylko przytaknął bez słowa. Na Boga, dlaczego on się nie ubierze? Jak może przekonująco tłumaczyć mu, że do siebie nie pasują, kiedy on tak leży.. Nagi, muskularny i tak pięknie opalony.

Z przerażeniem spostrzegła, że znów jest podniecony.

- Może pomóc ci jeszcze trochę się uspokoić?

Oderwała od niego wzrok i ciaśniej owinęła się ręcznikiem.

- Oczywiście, że nie. Czy ty nie masz wstydu?

- Ani trochę - odparł, parskając śmiechem.

Irish bez słowa odwróciła się i poszła do łazienki. W kabinie puściła prysznic silnym strumieniem. Zaczęła namydlać się, trąc z całej siły, jakby chciała zmyć z siebie całą przeszłość, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł Kyle.

- Co ty tu robisz?

- Biorę prysznic - odparł, wyjmując jej mydło z ręki.

- Kyle!

- Co takiego? - Zaczął delikatnie namydlać jej ciało, masować ramiona, plecy, a na koniec wewnętrzną stronę ud.

- Przestań, tak nie wolno - powiedziała, opierając się o niego z westchnieniem.

- Mam przestać? - Odłożył mydło i teraz masował ją i pieścił palcami.

- Tak. Za minutę.

- Oczywiście, kochanie. Za minutę.

- Kyle, to nic nie znaczy. Jeśli nawet seks między nami jest nadzwyczaj udany, to ja i tak... ach, wspaniale... i tak zamierzam wyjść za milionera. To już postanowione.

- Wiem, najdroższa.

Jakoś udało jej się przemknąć dyskretnie do swojego pokoju, tak żeby nikt nie zauważył pogniecionego i podartego ubrania. Potem szybko je zrzuciła, włożyła bawełniane spodnie i bluzkę, zrobiła makijaż i zbiegła schodami do restauracji na spotkanie z Jacksonem.

Było spóźniona o kwadrans, ale Jackson czekał na nią z rozpoczęciem śniadania. Wstał, kiedy ją zobaczył, przysunął jej krzesło i dał znak kelnerowi, aby podał kawę.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi. Jeśli mam być szczery, nie miałbym też pretensji, gdybyś w ogóle się nie zjawiała. Tak mi przykro z powodu Noaha. Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło. Główną przyczyną było chyba to, że się upił. Tak czy owak, wsadziliśmy go do samochodu z kierowcą, który odwiózł go do Dallas. Już więcej nie będzie cię niepokoił.

- Ja też przepraszam. Mam wrażenie, że to moja obecność spowodowała te wszystkie problemy.

- Nie, skądże. Nawet tak nie myśl. Nie chciałbym, żebyś odniosła wrażenie, że teksańscy mężczyźni zachowują się w ten sposób. Wiesz, coś sobie przypominam. On chyba pochodzi z Rhode Island czy w każdym razie z któregoś z północnych stanów. Może coś zjemy?

Jackson był tak miły i uprzejmy, a jeszcze do tego przystojny - wysoki, szczupły i ciemnowłosy. Jedli śniadanie i rozmawiali, a Irish doszła do wniosku, że byłby jeszcze przystojniejszy, gdy by miał jasne włosy i niebieskie oczy. Mimo że uosabiał wszystko, czego mogła zapragnąć kobieta, ze smutkiem stwierdziła, że nie odczuwa nic, żadnego dreszczyku, żadnego zwiastuna, że oto coś między nimi się zaczyna. Ale może to wymaga więcej czasu, powiedziała sobie w duchu. Pewnie wystarczy kilka pocałunków, a iskra od razu się zatli.

Przyglądała się jego dłoniom, kiedy kroił plaster szynki na talerzu. Miał długie palce, które natychmiast przypomniały jej o innych dłoniach - szczupłych, wspaniałych, znów gdzieś zabłądziła myślami.

- A co ty o tym sądzisz? - spytał Jackson.

- Przepraszam? - odparła zaskoczona.

- Mówiłem, że po takim nieprzyjemnym doświadczeniu pewnie będziesz chciała odwołać resztę spotkań z pozostałymi naszymi kolegami.

- Och, nie. Wcale nic. Nic się nie stało. Po prostu teraz już nie pójde z nikim na spacer ciemną aleją.

- Irish, zapewniani cię, że nie masz się czego obawiać. Kiedy wiadomość o wybryku Noaha rozeszła się, chłopcy byli na niego naprawdę wściekli. Nie chcielibyśmy, żebyś myślała o nas źle z powodu jednego drania.

- Nie będę, obiecuję.

Wyjęła z torebki notatnik, gdyż - niezależnie od tego, co się stanie - miała zobowiązania wobec „Esprit”. Zadała Jacksonowi kilka pytań na tematy, które powinny zainteresować czytelników. Po śniadaniu i skończonym wywiadzie Jackson przyniósł kapelusz z resztą kart wizytowych i ustalili rozkład spotkań podczas kolejnych posiłków. Ku wielkiej uldze Irish, pozostał jej wolny czas codziennie po kolacji i mogła go przeznaczyć na odpoczynek lub spędzić z kimś, kogo wybierze.

- Grasz w golfa? - spytał nagle Jackson.

- Nawet nie rozróżniam, który kij do czego służy.

- O mnie też tak czasami mówią - odparł ze śmiechem. - Gramy dziś przed południem. Jeśli chcesz, możesz powłóczyć się z nami po polu albo poleniuchować na basenie.

Irish wybrała basen.

Dopiero kiedy ktoś dotknął jej ramienia i delikatnie potrząsnął, zdała sobie sprawę z tego, że zasnęła. Zerwała się przestraszona, nie wiedząc w pierwszej chwili, gdzie się znajduje.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem - odezwał się Carlton Gramercy, ubrany jeszcze w strój do golfa. - Z tego co wiem, przypadł mi obiad z tobą. Chciałabyś zjeść tutaj, przy basenie?

- Tak, z przyjemnością.

- W takim razie pójde się przebrać i zamówię obiad. Czy masz ochotę na coś szczególnego?

- Nie, dziękuję. Wybór zostawiam tobie.

Carlton oddalił się, a Irish chwyciła za torebkę i pośpiesznie poprawiła makijaż. Carlton nie był tak atrakcyjnym mężczyzną jak Jackson, ale nie można było powiedzieć, że nie jest przystojny. Kyle co prawda wspominał coś że ma kłopoty w interesach, ale to były w końcu tylko pogłoski, nic pewnego.

Właśnie zatrzasnęła puderniczkę, kiedy usłyszała głośny plusk. Ktoś wskoczył do basenu i płynął pod wodą w jej kierunku. Jak widać, Carlton jest szybki

Tuż obok niej wynurzyła się z wody głowa, tyle że wcale nie Carltona, a Kyle'a.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się do niej przez strużki wody, spływającej mu po twarzy. - Świetna woda. Chodź się wykąpać.

- Nie, dziękuję. Zaraz mam obiad z Carltonem i nie chcę zamoczyć włosów.

- Widziałem cię z mokrymi włosami i według mnie wyglądałaś bardzo seksy.

- Kyle! Cicho... - Rozejrzała się wokoło, czy przypadkiem ktoś tego nie usłyszał. Na szczęście w pobliżu nie było żywej duszy. - Idź stąd.

- Chcę jeszcze trochę popływać. Na polu golfowym było okropnie gorąco. Mówiłem ci już, że wygrałem dwa tysiące dwieście?

- Cieszę się, a teraz już cię tu nie ma. Carlton powinien wrócić lada chwila.

- Na twoim miejscu włożyłbym sukienkę. Carlton nie tylko kiepsko stoi w interesach, ale ma dwoje dzieci i wciąż odwiedza ich matkę w Lubbock. Nie chcesz chyba prowokować go, prawda?

- Kyle, idź już wreszcie. Nie wierzę nawet w połowę tego, co opowiadasz.

- Czy ja mógłbym cię okłamać? Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nie można ufać temu draniowi, Birchfieldowi? Włóż wreszcie tę sukienkę.

- Niech ci będzie! - Chwyciła rozpinaną sukienkę i nałożyła ją. - A teraz, czy możesz z łaski swojej się wynieść?

- Twoja prośba jest dla mnie rozkazem. Rozległ się plusk i już go nie było.

Wrócił Carlton, a za parę minut przyniesiono jedzenie. Jej towarzysz prezentował się bardzo dobrze w spodenkach kąpielowych - oprócz tego, że miał wyraźnie widoczny brzuszek. Ale nie to jest najważniejsze, powtarzała sobie w duchu.

Kiedy rozmawiali podczas obiadu, nie wspomniął ani słowem o swoich dzieciach, ani też o tym, że ma jakiegokolwiek kłopoty w interesach. Irish zadała mu parę pytań, próbowała robić notatki, ale wciąż była wytrącona z równowagi. Za każdym razem, kiedy uniosła wzrok, widziała Kyle'a kręcącego przecząco głową i robiącego gesty kciukiem zwróconym w dół.

Podobnie było podczas kolacji z Makiem, i znów Kyle był tego przyczyną. Chciała posłuchać, jak jej towarzysz - szczupły, o opalanej skórce i wypłowiałych od słońca jasnych włosach - opowiada o szukaniu zaginionych skarbów w oceanie, ale ledwo zdążyli zjeść, kiedy zniemacka wyrósł przy ich stoliku Kyle.

- O ile się nie mylę, ten taniec jest mój - powiedział i zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, porwał ją w ramiona. - Tańczysz tango, prawda?

- Oczywiście, że tańczę, ale.. .

- Byłem tego pewien, Masz figurę wprost stworzoną do tanga.

Przycisnął policzek do jej policzka i pociągnął ją wzdłuż niewielkiego parkietu. Za każdym razem, kiedy próbowała protestować, wypuszczał ją na długość ramienia jak jo-jo, a potem przyciągał z powrotem tak mocno, że uderzała o jego pierś. Następnie zaś przechylał ją aż do podłogi tak, że to, co robili, stawało się parodią tańca

- Kyle, do cholery...

- Wspaniale wyglądasz, w tańcu.

- Kyle!

- Uwielbiam sposób, w jaki wymawiasz moje linie powiedział i znów zakreślił nią, aż plasnęła o jego pierś, a potem przechylił tak, że prawie dotykała głową podłogi.

Na szczęście muzyka dobiegała końca, Kiedy Irish spróbowała wyrwać mu się i wrócić do Maca, Kyle przytrzymał ją.

- Poczekaj, posłuchajmy. O, to samba. Umiesz tańczyć sambę?

- Tak, ale... Nie, nie umiem.

- Za późno, przyłapałem cię - odparł szczerząc zęby i znów pociągnął ją na środek parkietu.

- O, nie. - Wreszcie udało jej się uwolnić. - Jak masz ochotę tańczyć, to możesz to sobie robić sam. Ja mam spotkanie.

- Ach, tak, wiem. Niezły z niego ptaszek. Opowiadał ci o czasach, które spędził w ciupie?

Odwróciła się i bez słowa odeszła.

- Bardzo przepraszam - powiedziała do Maca, kiedy już znalazła się przy stoliku.

- Ja też przepraszam, że nie było nas tak długo - powiedział Kyle, przysiadając się do nich. - Nie mogę się doczekać, kiedy opowiesz nam jeszcze o tym galeonie, który odkryłeś dwa lata temu u wybrzeży Puerto Rico.

Irish miała ochotę go udusić. Mimo że dawała mu znaki, przyssał się do nich jak pijawka. Musiała w końcu dać za wygraną i pożegnać się.

- Odprowadzę cię - powiedział Kyle, zrywając się z krzesła. - Wiesz, mieszkamy w sąsiednich pokojach - dodał, mrugając do Maca porozumiewawczo.

W windzie Irish zacisnęła zęby, żeby nie zacząć krzyczeć. Jeśli on myśli, że tę noc spędzi w jej łóżku, to się grubo myli.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Powoli otworzyła oczy i zobaczyła na poduszce obok siebie znajomą jasnoblond czuprynę. Jęknęła głośno. Jak mogła dopuścić, żeby to znów się stało? Wszystko przez ten pocałunek.

- Pocałuj mnie tylko na dobranoc - powiedział jej wtedy.

- Przecież nic się nie stanie.

Akurat! Znowu dała się nabrać na to samo. Ale już nigdy więcej! Zaczęła szturchać go mocno.

- Kyle! Wstawaj. Idź do swojego pokoju, zanim ktoś cię tu nakryje. I pamiętaj, że ostatni raz tu się znalazłeś. Nie rozumiem, jak to się stało. Musiałam być szalona. Przecież nawet mi się nie podobasz, nie jesteś w moim typie.

- Bo nie mam forsy? Jakoś w nocy ci to nie przeszkadzało - odparł, patrząc na nią z drwiącym uśmiechem. Pamiętam nawet, jak powiedziałaś, że...

- Nic nie mówiłam. Nawet jeśli cokolwiek powiedziałam, to i tak bez znaczenia. Takie tam gadanie pod wpływem chwili. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wzięłby tego na serio.

- Dla mnie to zabrzmiało bardzo serio. „O, Kyle, najdroższy - przedrzeźniał ją sztucznie cienkim głosikiem - jesteś mężczyzną mojego życia. Nigdy nie kochałam...”

- Przestań! - Irish cisnęła w niego poduszką. - Nie chcę tego słuchać. Czy ty przypadkiem nie powinienes już wyjść?

- A która jest godzina? - Kyle spojrzał na zegarek. - O, rzeczywiście. Jackson zabiłby mnie, gdybym się spóźnił. - Pocałował ją szybko i zerwał

się z łóżka. Pośpiesznie włożył spodnie, a resztę ubrania zwinął w kłębek.

- To na razie, kochanie. Zobaczymy się później.

- Na pewno nie, jeśli będę miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie. Trzymaj się ode mnie z daleka! - zawołała za nim. - Zawsze mi wszystko psujesz.

Potem rzuciła się na łóżko i owinęła głowę prześcieradłem.

Dlaczego? Dlaczego znowu spędziła z nim noc? Jak mogła być taka głupia?

Zawsze do tej pory dawała sobie radę z mężczyznami. Potrafiła zdecydowanie powiedzieć „nie” i zresztą najczęściej robiła to, gdyż nie była amatorką łatwych znajomości i przygód. Tyle że w Kyle’u było coś takiego, co wykraczało poza jej doświadczenia z mężczyznami. Mimo wszystko musi jakoś wykrzesać z siebie dodatkowe siły, bo przecież nie bardzo można łąpać milionera na męża, kiedy jest się związanym z kim innym.

Czy fakt, że się kochali, zniszczy jej życiową szansę? Wspomnienie minionej nocy wywołało rozmarzony uśmiech na twarzy Irish. Kyle był najwspanialszym pod słońcem kochankiem. Kiedy tak...

Nie! Na pewno nie pozwoli, żeby zniweczył jej plany. Przyjechała do Teksasu, żeby znaleźć bogatego męża, i nic nie zmieni jej postanowienia. Zerwała się z łóżka i podeszła do komody po listę z nazwiskami i rozkładem spotkań. Teraz czekał ją obiad z Aaronem Goldenem, właścicielem sieci sklepów z męską odzieżą. Nosił na palcu pierścionek z brylantem, który był pewnie wart więcej niż dwuletnie zarobki kogoś takiego jak ona.

Otworzyła szalę i zaczęła przeglądać jej zawartość. Do południa było jeszcze sporo czasu i miała zamiar sprawić, aby na jej widok Aaron padł trupem.

Gdyby Aaron rzeczywiście padł trupem, pewnie mało kto zauważyłby różnicę. Nie spotkała nigdy drugiego tak nudnego mężczyzny. Z trudem tłumiła ziewnięcia i bawiła się ziarnkiem groszku na talerzu. Gdzie podziewa się Kyle, kiedy akurat jest jej potrzebny?

Niestety, koktajl z Jimem Welbornem też nie okazał się lepszy. Jej towarzysz był miły i opowiadał jej o uprawie ryżu, ale nie zdołała wykrzesać z siebie ani odrobiny zainteresowania ani dla jego osiągnięć rolniczych, ani dla kogoś o imieniu Dixie. Nie była pewna, czy chodziło o psa, czy też o kobietę, ale życzyła mu wszystkiego najlepszego, byleby tylko przestał ją zanudzać.

Potem spotkała się z Mitchem Harrisem i to już na szczęście było coś innego. Mitch zrobił karierę i pieniądze, grając w futbol, zaś trzy lata temu wycofał się z czynnego uprawiania sportu i zajął korzystnym lokowaniem pieniędzy oraz hodowlą rasowych koni. Był przystojny, miał niebywale szerokie ramiona, niebieskie oczy i chłopięcy uśmiech. Kolacja i rozmowa z nim przebiegała gładko i przyjemnie.

- Jakoś nie mam talentu do jazdy konnej mówiła Irish. - Kiedy pierwszy raz próbowałam z Jacksonem, dwa razy wylądowałam na ziemi.

- Ja też zleciałem kilka razy i wiem, że człowiek nie czuje się wtedy zabawnie. Ale założę się, że ze mnie lepszy nauczyciel niż z Jacksona. Przyjedź na moje rancho, a wybiorę dla ciebie najspokojniejszego konia i będę udzielał ci lekcji.

- A gdzie jest twoje rancho?

- Obok miasteczka Brenham. Można tam łatwo dojechać z Houston albo z Austin. Ma kilkaset akrów i jest wspaniale położone, zwłaszcza wiosną trudno znaleźć piękniejsze miejsce, kiedy łąki całe pokryte są kwiatami. Chciałbym ci to pokazać. Zapraszam cię do siebie, kiedy tylko będziesz mogła przyjechać. Moim zdaniem, im wcześniej, tym lepiej.

- To brzmi zachęcająco - powiedziała Irish, uśmiechając się słodko do niego.

Nagle przy ich stoliku jak spod ziemi wyrósł Kyle.

- Jak leci, moi drodzy? Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale jest telefon do ciebie, Mitch. Możesz odebrać w recepcji.

Kiedy Mitch oddalił się pośpiesznie, Kyle usiadł na jego krześle i pochylił się nad stolikiem.

- Nie chciałem ci tego mówić, ale obawiam się, że zaczniesz robić sobie jakieś nadzieje co do Mitcha - powiedział cicho.

- O czym ty mówisz?

Kyle rozejrzał się pośpiesznie wokoło.

- On jest pedałem - wyszeptał.

- Nie, nie wierzę!

- Naprawdę. Jest miły i sympatyczny, ale to pedał.

- Nie wierzę ci, na pewno mówisz to specjalnie. Przecież on był profesjonalnym graczem, na litość boską.

- No to co? Wśród sportowców jest wielu homoseksualistów. Zapytaj Jacksona, jeśli mi nie wierzysz - dodał i szybko oddalił się z restauracji,

Kiedy Mitch wrócił, Irish mimo woli przyglądała mu się taksująco. Trudno jej było uwierzyć, że taki wspaniały okaz mężczyzny może być pederastą. A jeśli tak, to naprawdę szkoda.

Podejrzewała, że Kyle skłamał, ale mimo wszystko wieczór miała już zepsuły, Pożegnała się z Mitchem wcześniej pod byle pretekstem i poszła do swojego pokoju, a tam dokładnie zamknęła drzwi i położyła się do łóżka. Tym razem wreszcie sama.

Po śniadaniu okazało się, że wszyscy mężczyźni znów grają w golfa. Irish pomachała im na pożegnanie i spokojnie wypła jeszcze jedną kawę, Było teraz cicho i przyjemnie. Porozmawiała przez chwilę z recepcjonistką Tami i spojrzała na zegarek. Do obiadu z Bobem Willisem miała jeszcze trzy i pół godziny. Nie bardzo mogła pływać, a do tenisa potrzeba partnera. Nie miała ochoty siedzieć w pokoju i czytać, zaś jazda konna z oczywistych względów nie wchodziła w rachubę.

Został tylko Pete Cherokee. Uśmiechnęła się. Oczywiście, że tak. Chętnie pojedzie zobaczyć się ze staruszką.

- A niech mnie - powiedział Pete, kiedy pół godziny później Irish zajrzała do jego pokoju. - Zobaczcie, kto się zjawił. Zostaw nas teraz, Steve - zwrócił się do pielęgniarki. - Młoda dama przyszła do mnie z wizytą. Irish była modelką, jak Cindy czy Claudia, ale jeśli chcesz, znać moją opinię, to ona wygląda ładniej niż tamte dwie razem wzięte.

- Pan to umie czarować - odparła Irish śmiejąc się. - Co czytamy? - Podniosła książkę, leżącą na nocnym stoliku. - Tym razem romans?

- A tak. Mówiłem ci, że czytam wszystko, co zostało wydrukowane. Niestety, Steve nie jest ani w połowie tak dobrym lektorem jak ty. Wiesz, on przy niektórych fragmentach ścisza głos, tak jakby się wstydził.

- Uwielbiam romanse. Może poczytać panu trochę?

- No pewnie.

Czytała ponad godzinę, a potem rozmawiali jeszcze przez chwilę, głównie o jego zmarłej żonie. Romantyczna historia najwyraźniej wprawiła go w sentymentalny nastrój.

- Za młodu byłem trochę lekkoduchem - mówił Pete. - Ale w chwili kiedy pierwszy raz ujrzałem Molly, wiedziałem już, że ona jest wprost stworzona dla mnie, i od tej pory nigdy nie spojrzałem na żadną inną kobietę.

- Nigdy? - spytała Irish, unosząc brwi z powątpiewaniem.

- No, tak się mówi. Może popatrzyłem przez chwilę, ale to wszystko. Na żadnej innej kobiecie nie zależało mi tak jak na niej. Zakochałem się po uszy. Myślę, że tak samo będzie z moimi wnukami, jeśli trafią na właściwą kobietę. A jak mają się sprawy między tobą a Kyle'em?

- Wciąż pan próbuje nas swatać? - spytała z uśmiechem.

- Aha. Kyle obedrze mnie ze skóry, jeśli dowie się, że znowu do tego wracam, ale mówię serio o tych dwóch milionach. Chciałbym mieć cię tutaj.

- Pan jest bardzo miły, ale nie sędzę, żeby Kyle był mężczyzną odpowiednim dla mnie.

- Jesteś pewna? A gdybym podniósł stawkę do dziesięciu? Wstała, śmiejąc się, i pocałowała go w policzek.

- Idę na dół po jakieś ciastka. Dla pana też coś wziąć?

- Poczekaj, zastanówmy się. A Jackson? Może on ci się spodobał? To dobry chłopak, czasami trochę zwariowany, ale nie bardziej niż...

- Czas na ćwiczenia! zawołała radośnie od drzwi barczysta, mocno zbudowana niewiasta.

- Idź stąd, kobieto, przynosisz mi tylko tortury. Nie widzisz, że mam gościa? Właśnie jesteśmy w trakcie poważnych negocjacji.

- Niech pan nie mówi głupstw - odparła fizykoterapeutka. - To dla pańskiego dobra i pan świetnie sobie z tego zdaje sprawę.

- Ona jest jak poganiacz niewolników - powiedział Pete do Irish.

- Pewnie dlatego terapia tak dobrze skutkuje - odparła. - Muszę już iść. Wpadnę do pana wkrótce.

Weszła do sklepu, żeby porozmawiać chwilę z Alną Jane i Jenny oraz kupić paczkę babeczek. Kiedy za nie płaciła, zdała sobie sprawę, jak mało zostało jej pieniędzy. Jeśli w ciągu paru dni nie załatwi tego, po co tu przyjechała, znajdzie się w nie lada kłopotcie. Konto bankowe puste, a gotówki jej wystarczy na zatankowanie samochodu.

Gdyby miało stać się najgorsze, pewnie będzie musiała pożyczyć od Kyle'a pieniądze na powrót do domu. Miała jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Przyjechała do Teksasu, żeby złapać jakiegoś milionera i, na Boga, zrobić to!

Musi tylko zdecydować, którego.

Jackson Crow wciąż wydawał się najlepszą partią. Nie widziała wcale, żeby pił więcej niż ktokolwiek inny. Albo może Mitch Harris. Ani przez chwilę nie wierzyła, że jest homoseksualistą. Co do Boba Willisa czy Harve'a Dudleya, z którym była umówiona na koktajl, to raczej nie sądziła, żeby coś z tego wyszło.

Za to Mac z pewnością wchodził w rachubę. Przyjemnie byłoby włóczyć się po świecie na jachcie i zanurzać dłonie w stosy złotych monet albo antycznej biżuterii. Nie powinna też zapominać, że został jeszcze Matt Crow. Taki miłutki i przystojny. Dziś ma zjeść z nim kolację.

A nuż będą do siebie znakomicie pasować? Nigdy nie wiadomo.

Odświeżyła się po wycieczce i zjechała na dół, żeby zjeść obiad z Bobem. Kiedy drzwi windy otworzyły się, ujrzała Kyle'a, opierającego się o ścianę.

- Cześć, złotko - przywitał ją, uśmiechając się od ucha do ucha. -
Idziesz na obiad?

- Tak, owszem, i proszę, nie nazywaj mnie „złotko”. A teraz przepraszam, bo jestem umówiona z Bobem Willisem.

- No, cóż... otóż nie jesteś.

- Ależ jestem. Tak mam zanotowane w rozkładzie.

- Zaszła niewielka zmiana.

- Jak to?

- Tak. Obiad jesz dzisiaj ze mną - powiedział, podając jej ramię.

- Jak to się stało? - spytała, ignorując wyciągniętą rękę.

- Wygrałem cię.

- Co to znaczy „wygrałem”?

- Tak. Na czternastym dołku. On nie trafił, a ja zarobiłem jedno uderzenie dodatkowo. Wygrałem cię.

- Zaraz, zaraz, wy jaśnijmy to. Założyłeś się z Bobem Willisem na polu golfowym, że...

- Na czternastym dołku. Naprawdę było ciężko.

- Więc Bob Willis postawił spotkanie ze mną. A ty co postawiłeś?

- Pięć tysięcy.

- Postawiłeś pięć tysięcy dolarów za obiad ze mną? Chyba jesteś szalony.

- Szaleję za tobą odparł i pocałował ją w policzek. - Możemy iść?

Umieram z głodu

Irish mruczała pod nosem, kiedy szli do stolika. Pięć tysięcy dolarów! Nie mogła uwierzyć, że Kyle zrobił coś tak głupiego. Im dłużej myślała o całej tej sytuacji, tym bardziej ją to złościło.

- Co się stało, kochanie? spytał Kyle, przyglądając się jej znad menu.

- Nic się nie stało. Poproszę o łososia na zimno i sałatkę.

- Wino?

- Herbatę.

- Jeśli nic się nie stało, to dlaczego masz nos spuszczonej na kwintę?

- Mylisz się - odparła, prostując się. Siedziała bez słowa, kiedy Kyle zamawiał obiad.

- Powiesz mi teraz, o co chodzi? - spytał, kiedy znów zostali sami.

- Jeśli już musisz wiedzieć, to moja duma trochę ucierpiała, kiedy dowiedziałam się, że zostałam stawką w grze. Zaczynam czuć się jak żeton w kasynie.

- Och, kochanie. - Wziął ją za rękę, ucisnął lekko palce i pocałował.

- To nie tak. Ja go do tego nakłoniłem. Zapytaj Carltona albo Harve'a. Oni też przy tym byli. Zresztą Bob byłby dla ciebie stratą czasu, bo za dwa tygodnie żeni się z rozwódką, która ma posiadłość obok jego terenów. - Pochylił się i dodał szeptem: - Wierz, mi, wynudziłabyś się przy nim, a poza tym czuć mu z ust.

Nie wytrzymała i musiała się roześmiać.

- Jesteś taki sam jak twój dziadek. Odwiedziłam go dziś przed południem. Chyba czuje się lepiej, ale strasznie narzeka na terapię, której jest poddawany.

- Też to słyszałem, ale ćwiczenia bardzo dobrze mu robią. Za tydzień lub dwa powinien być już na nogach i potem problemem będzie raczej to, żeby się nie przeforsował.

- Było bardzo przyjemnie. Poczytałam mu dzisiaj romans, a on podniósł swoją ofertę do dziesięciu milionów, jeśli wyszłabym za ciebie.

Kyle o mało nie wywrócił szklanki, ale złapał ją w ostatniej chwili i tylko trochę wody chlusnęło na obrus.

- Chyba nie traktujesz staruszka poważnie - powiedział, osuszając dłoń serwetką.

- Oczywiście, że nie. Powiedziałam mu, że nie jesteś w moim typie. Zdaje się, że teraz będzie forsował kandydaturę Jacksona. Moim zdaniem, to nie jest taki zły pomysł.

Szklanka przewróciła się na obrus, a zimny strumień spłynął prosto na jego uda.

- Cholera! - krzyknął Kyle, zrywając się na nogi. Podbiegł kelner i zaczął sprzątać stół, zaś Kyle próbował się osuszyć. Akurat w pobliżu pojawił się Jackson, przystanął przy nich i zachichotał patrząc na jego spodnie, mokre w okolicy rozporka.

- Słyszałem o stosowaniu zimnych pryszniców, ale myślę, że to także może być niezłym sposobem na ostudzenie.

- To nie jest wcale śmieszne - warknął Kyle, a Irish z trudem usiłowała zachować powagę.

- Dla mnie jest odparł Jackson, mrugając do niej. - Idź zmienić spodnie, a ja tymczasem zabawię twoją towarzyszkę.

- Na pewno nie zostawię jej sam na sam z tobą.

- Człowieku, o co ci chodzi? Zobacz, ile tu ludzi. Zapewniam cię, że ze mną nic jej nie grozi.

- Dobrze, ale zaraz wracam Kyle cisnął mokrą serwetę na stół i odszedł.

- Może przeniesiemy się w bardziej suche miejsce? - zaproponował Jackson, wciąż ubawiony. - Co w niego wstąpiło? - spytał, gdy już usiedli przy innym stoliku i kelner przyniósł świeżą wodę. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby zachowywał się tak niezgrabnie. Pewnie to z twojego powodu - dodał, uśmiechając się porozumiewawczo. Czy to coś poważnego?

- Ależ skąd - odparła pośpiesznie. Kyle jest bardzo miły, ale zupełnie nie w moim typie.

- Nie? - spytał, podnosząc do ust napełnioną wodą szklanę. - A jaki jest twój typ?

Nagle poczuła się onieśmielona. No, dalej, ponagliła siebie w duchu. To może być twoja największa szansa. Zwilżyła językiem wargi i ubrała twarz w swój najlepszy uśmiech z okładki.

- Lubię mężczyzn wysokich, ciemnych i przystojnych - powiedziała niskim głosem, obrzucając go powłóczyстым spojrzeniem. Wyciągnęła stopę pod stolikiem i dotknęła jego nogi. - Takich jak ty.

Szklanka runęła na stół. Jackson próbował ją złapać, ale potracił tylko szklanę Irish. Tym razem oboje dostali strugę wody prosto na kolana. Irish skoczyła na równe nogi, kiedy poczuła lodowaty strumień.

- Cholera! - zawołał Jackson, próbując wytrzeć wodę, zanim wsiąknie w jej ubranie.

- Co ty, u diabła, robisz? - wrzasnął Kyle, który właśnie pojawił się z powrotem.

Jackson stanął jak wryty. Popatrzył na Kyle'a, a potem na swoją rękę, spoczywającą na spodniach Irish.

- I tak mi nie uwierzysz - odparł. - Bardzo przepraszam - powiedział, zwracając się do Irish. - Chyba teraz przyszła nasza kolej na zmianę strojów. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, proponuję obiad przy basenie. Możemy włożyć kostiumy kąpielowe i oszczędzić sobie przebierania.

- Nikt cię nie zapraszał na obiad - odezwał się Kyle gniewnie. - Zjemy u Irish w pokoju.

- Nie zachowuj się tak nieuprzejmie - wtrąciła się Irish, trącając go dyskretnie łokciem. - Zjemy razem przy basenie - dodała, uśmiechając się uroczo do Jacksona, a ten w odpowiedzi też się uśmiechnął i puścił do niej oko.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kyle i Jackson stali w holu czekając, aż Irish się przebierze.

- Wyglądasz idiotycznie - syczał Kyle do swojego kuzyna. - Kogo chcesz oszołomić tym przebraniem?

Jackson miał na sobie czarny kowbojski kapelusz, czarne kapielówki z nogawkami do pół uda, obcisłą koszulkę drużyny Kowbojów z Dallas, czarne, wysokie kowbojskie buty i lotnicze okulary.

- Co w tym idiotycznego? - spytał zdziwiony. - Nie lubisz Kowbojów?

- Świetnie wiesz, że mam na myśli twój kapelusz i to, że włożyłeś mi przypiął, ni przyłatał takie buty na te swoje gołe, owłosione nogi. Powinieneś występować jako kłown na rodeo.

- Tego jeszcze nie próbowałem - odparł Jackson, szczerząc zęby. - Kapelusz mam od słońca, a co do butów... ja je po prostu lubię. Noszę tylko robione na zamówienie. Te są specjalnie na basen. Zobacz, mają gumowe podeszwy - dodał, unosząc nogę, żeby kuzyn mógł zobaczyć spód. - Jeśli zaś chodzi o moje nogi, to czy uważasz, że powinienem je golić?

Kyle zaczął się śmiać.

- Ty chyba nigdy nie dorośniesz.

- Mam nadzieję że nie, jeśli miałyby to znaczyć, że muszę chodzić, w garniturze i tak dalej. Wiesz, Kyle, pewnie za długo byłeś w Kalifornii, zrobiłeś się taki jakiś sztywny i bez fantazji. Przykro mi to mówić, ale moim zdaniem nasz gość woli mnie niż ciebie.

-Diabła tam woli. Przez chwilę tylko oszołomił ją stan twojego konta, ale niedługo wróci jej przytomność. Dlaczego nie pójdziesz sobie i nie zostawisz nas samych?

- Nic z tego. Irish zaprosiła mnie osobiście, a ja mam za zadanie spełniać wszystkie życzenia naszych gości. Poza tym ona jest urocza. Bardzo ją lubię.

Kyle już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale właśnie ukazała się Irish w zielonym stroju plażowym, składającym się z bikini i przezroczystego żakietu.

- Przepraszam, że to tak długo trwało, ale dziś jest silny wiatr, więc musiałam zapleść warkocz - powiedziała, dotykając misternie upiętych włosów.

- Warto było, bo wyglądasz zachwycająco - odezwał się Jackson, uchylając kapelusza.

- Dziękuję - odparła, zerkając na jego buty, a potem przenosząc pytający wzrok na Kyle'a.

- To jest jego obuwie na basen - wyjaśnił, wyciągając do niej rękę. Jackson wykonał ten sam gest.

- Pójdziemy? - spytali unisono.

Przez chwilę rozkoszowała się objawami zainteresowania ze strony ich obu, ale potem zaczęła czuć się nieco dziwnie. Wyglądało na to, że oni bardziej zajmowali się współzawodnictwem między sobą niż nią samą. Miała też uczucie, że Jackson nie traktuje całej tej sytuacji tak serio jak Kyle, chociaż trudno wymagać od kogoś, kto chodzi na basen w takim stroju, żeby cokolwiek traktował serio.

- Obiad będzie za chwilę - powiedział Jackson. - Masz ochotę się ochłodzić?- zwrócił się do Irish.

- Nie, dziękuję, idźcie sami odparła. - Może dołączę do was później.

W rzeczywistości wcale nie chciała wchodzić do wody, żeby nie zniszczyć maskującego makijażu.

- Będziesz się kąpał w butach? spytał Kyle złośliwie.

- Człowieku, czyś ty oszalał?

Jackson zdjął buty i odstawił na bok, rzucił kapelusz na krzesło i odłożył okulary. Potem zdjął koszulkę, a Irish patrzyła z podziwem na jego wspaniałe mięśnie. Miał piękne ciało, mocno opalone, z ciemnymi włosami na piersi. Podszedł do trampoliny, wspiął się, mrugnął porozumiewawczo do Irish i wykonał perfekcyjny skok do wody.

- Wspaniale! - zawołała, klaszcząc w dłonie, kiedy głowa Jacksona wynurzyła się z wody,

- Cholera!

Kyle wstał, zerwał z siebie koszulkę, zrzucił buty i pomaszerował do trampoliny. W niczym nie ustępował Jacksonowi, jeśli chodzi o pięknie umięśnione ciało. Niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że przewyższał go urodą.

Tacy, co to lubią blondynów o miodowozłotej skórze.

Jego skok tyłem też był bez zarzutu.

Jackson wrócił na trampolinę i wykonał skok odrobinę trudniejszy. Kyle powtórzył to samo. Potem Jackson zrobił salto i Kyle nie pozostał w tyle.

Przy basenie pojawił się Mac. Przysłonił ręką oczy i przez chwilę przyglądał się skokom.

- Co to jest? - zwrócił się do Irish. - Eliminacje do olimpiady?

- Nie - odparła. - Zawody w piaskownicy.

- Właśnie widzę - powiedział chichocząc. - Muszę jechać do Tyler, podpisywać moją książkę w księgarni. Chciałabyś wybrać się ze mną? 'To nie powinno potrwać dłużej niż dwie godziny, a potem kupię ci loda.

- Duże lody, i jadę z tobą.

- Zgoda.

- W takim razie poczekaj dziesięć minut, a ja się przebiorę.

- Cholera, miałem nadzieję, że pojedziesz w tym zielonym kostiumie i będę mógł opowiadać ludziom, że znalazłem w morzu syrenę.

Wstała śmiejąc się i oboje opuścili basen.

Kyle podciągnął się na brzeg basenu i otarł twarz z wody. Jackson wynurzył się obok niego, otrzepując mokrą głowę jak psiak.

- Chyba zrobiliśmy się za starzy na coś takiego - powiedział.

- Też czuję, że już nie mam szesnastu lat - dodał Kyle i spojrzał przez ramię w stronę stolika, gdzie siedziała Irish.

Tyle że jej tam nie było.

Rozejrzał się wokoło, ale w polu widzenia byli tylko Matt Crow i Spud, siedzący pod parasolem i pogrążeni w rozmowie.

- Gdzie ona może być?

- Nie wiem - odparł Jackson, wzruszając ramionami.

- Hej, Matt - wrzasnął Kyle. - Nie widziałeś, gdzie poszła Irish?

- Wyszła stąd razem z Makiem parę minut temu. Chyba kierowali się w stronę głównego budynku.

- Cholera!

-Nie przejmuj się pocieszał go Jackson. - Mac jest w porządku.

- Tego właśnie się boję. Muszę ich znaleźć. Pośpiesznie pozbiierał swoje rzeczy, ale nie zdążył nawet dojść do wyjścia, kiedy zobaczył w oddali Maca i Irish, odjeżdżających białym HMW.

- Niech to szlag! - wybuchnął i cisnął koszulę o ziemię. Potem stał patrząc, jak samochód znika z pola widzenia.

Podszedł do niego Jackson, znów w swym kapeluszu, z rącznikiem zawieszonym na szyi, W zębach miał nie zapalone cygaro. Otoczył kuzyna ramieniem.

- Chodź, stary. Usiądziemy przy zimnym piwie i powspominamy dawne czasy. Ona wróci.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy czegoś takiego nie doświadczałem. Czasami myślę, że zwariuję

- Kuzynie, to mi wygląda na miłość. Według mnie masz dwa wyjścia: albo się zastrzelić, albo ożenić.

- Nie mam rewolweru, a z drugiej strony boję się jej oświadczyć. Na pewno mi odmówi. Mówiłem ci, że postanowiła wyjść za milionera.

- No to powiedz jej prawdę, do jasnej cholery. Posłuchaj kogoś, kto jest starszy i bardziej doświadczony: z każdą chwilą i z każdym następnym kłamstwem pogrąžas się jeszcze bardziej.

- Co się wymądrzasz, jesteś tylko trzy miesiące starszy. Poza tym pogrążyłem się już tak głęboko, że jeszcze trochę nie będzie stanowiło różnicy. Jestem przekonany, że ona też mnie kocha, ale chciałbym wyciągnąć to od niej, zanim dowie się, że mam tyle forsy co ty.

- No, tego bym nie powiedział. Na ile się cenisz?

- Nie twój zakichany interes, ale nie narzekam. Sprzedałem gabinet i posiadłość w Kalifornii za niezły kawałek grosza.

Nie pozwól, żeby Spud się o tym dowiedział, bo będzie starał wciągnąć cię do swojej najnowszej inwestycji. Wygląda na to, że zarzucił sieci na Matta. Chodź, pomóż mi ratować braciszka z jego szponów.

- A co, Spud ma jakieś kłopoty? - spytał Kyle.

- Sądzę, że mógłby wykupić mnie i ciebie za jednym zamachem. On po prostu woli czasami obracać pieniędzmi innych. Ale ja nic narzekam, w zeszłym roku zarobiłem razem z nim parę milionów.

- A jak idą interesy Carltona Gramercy'ego?

- Jak świeże bułki. Podpisał wielki kontrakt z Arabią Saudyjską i kupują od niego na pniu cały sprzęt wiertniczy, jaki tylko uda mu się wyprodukować.

- Rany, mam nadzieję, że to wszystko nie dojdzie do Irish.

- Dlaczego?

- Bo powiedziałem jej, że Spud jest o krok od bankructwa, a Carltonowi nie starcza na wypłaty pensji.

Jackson zaczął się śmiać, potrząsając głową.

- Ale numer! Co jeszcze jej naopowiadałeś?

- Że Mitch Harris jest pedalem.

- Mitch? Tak powiedziałaś? - Jackson odrzucił głowę do tyłu i śmiał się na całe gardło.

Irish bardzo przyjemnie spędziła popołudnie z Makiem. Księgarnia w Tyler miała ładnie urządzone wnętrza, a podpisywanie książek zajęło tylko półtorej godziny. Chętnych było dużo - ponad pięćdziesiąt osób - a Mac twierdził, że to zasługa pięknej kobiety u jego boku. Potem udali się na lody.

- Nie jadłem lodów chyba już z parę lat - zauważył Mac.

- Ja też nie. Dawniej żyłam pod taką presją, żeby broń Boże nie przybrać ani grama na wadze, że nawet nie ośmielałam się myśleć o takich występnych rzeczach.

- Dlaczego tak się troszczyłaś o wagę? Byłaś modelką albo aktorką?

- To pierwsze. Pracowałam jako modelka w Nowym Jorku, ale wycofałam się z tego parę lat temu.

Mac zaczął przyglądać jej się uważnie. Obejrzał jej twarz z jednego, a potem z drugiego profilu.

- Czy to ty jesteś na reklamie olejku do opalania? Takiej z rybim ogonem i...

- Z muszlami? Tak, to ja

- Nic dziwnego, że nazwałem cię syreną. Jeden z nurków miał to zdjęcie na ścianie w kajucie. A niech mnie. To byłaś ty.

- To byłam ja.

- Dlaczego się wycofałaś? Wciąż wyglądasz, rewelacyjnie.

- Dziękuję.

W pierwszej chwili miała zamiar udzielić mu rutynowej, zdawkowej odpowiedzi, ale spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich samą uprzejmość, delikatność i życzliwość. Czuła, że może powiedzieć mu prawdę. Spuściła wzrok, podziobała chwilę łyżeczką w lodach i opowiedziała mu całą historię napaści i kilku miesięcy koszmaru, jaki potem przeżywała, a o czym rzadko decydowała się rozmawiać. Nie wiedziała, dlaczego wybrała do tych zwierzeń kogoś niemal zupełnie obcego.

Zajęło to ponad godzinę, ale nie pominęła żadnych szczegółów - z wyjątkiem prawdziwego powodu wyprawy do Teksasu i tego, co łączyło ją z Kyle'em.

-Przeżyłaś ciężkie chwile - odezwał się w końcu Mac i uścisnął jej dłoń,

- Nie było w sumie tak źle - odparła, wzruszając ramionami.

- Jako modelce powodziło mi się zupełnie dobrze, mogłam nawet zaoszczędzić niezłą sumę, ale ubezpieczenie nie obejmowało tych wszystkich operacji i właściwie od tamtej pory jestem ciągle pod kreską. Rodzice pomogliby mi, gdyby wiedzieli, ale ojciec ma tylko mały sklepik rzeźnicki w Akron, a mama zajmuje się domem. Nawet nie byłoby ich stać na zapłacenie takich rachunków. Na szczęście dostałam od ciotki Katie mały domek, który okazał się jakby darem niebios. Przyjęłam współlokatorki, pracuję przy sprzedaży kosmetyków i od czasu do czasu piszę jakiś artykuł. Daje się wyżyć, chociaż nie na takim poziomie, do jakiego kiedyś przywykłam.

Mac jeszcze raz uścisnął jej dłoń.

- Nie obraż się za to, co teraz powiem, ale moim zdaniem powinnaś złapać któregoś z tych nadzianych facetów z kręgu Jacksona. Już do końca życia nie miałabyś kłopotów finansowych.

- Tak, to nie byłoby złe - powiedziała z westchnieniem. - Też o tym pomyślałam, ale jakoś na to się nie zanoszą.

- Nie spotkałaś nikogo, kto by cię zainteresował?

- Ależ nie. To znaczy ktoś mnie zainteresował, ale są... pewne komplikacje. - Siedziała, rozmazując resztki lodów po talerzyku. - Po prostu nic z tego nie wychodzi.

- Przykro mi. Czy mógłbym ci jakoś pomóc? Mam więcej pieniędzy niż...

- Nie, w żadnym wypadku. To szalenie miło z twojej strony, ale nie mogłabym nic wziąć od ciebie.

Nie powiedziała mu, że wciąż ma nadzieję, że sprawy potoczą się tak, jakby sobie tego życzyła, oraz że chciałaby, żeby tym mężczyzną okazał się on, Mac. Był taki miły i kochany, prowadził nadzwyczaj interesujące życie i byłby idealnym kandydatem, gdyby nie to, że nie narodził się między nimi nawet cień pożądania. Szkoda, naprawdę szkoda.

- Na pewno znajdziesz jakiegoś świetnego faceta, bo jesteś piękna i masz ciekawą osobowość. Każdy wolny mężczyzna byłby szczęśliwy, gdyby cię dostał. Ja też, gdyby coś takiego wchodziło w rachubę.

- Jesteś żonaty? - spytała, patrząc na niego z niepokojem.

- Nie, to coś innego. Nie opowiadam o tym na prawo i lewo, tak że chyba w klubie nawet nie wiedzą, ale jestem homoseksualistą.

- Ty? Naprawdę? Tak jak Mitch Harris?

- Mitch? - Mac wybuchnął śmiechem. Skądże, zapewniam cię, że się mylisz.

- Jesteś tego pewien?

- Całkowicie.

- A to drań. Zabiję go - mruknęła pod nosem, najwyraźniej myślami będąc gdzie indziej.

Przez całą drogę powrotną obmyślała sposoby odegrania się na Kyle'u, ale nie przychodziło jej do głowy nic wystarczająco okrutnego. Kiedy dotarli do Crow's Nest, poszła do siebie odświeżyć się po podróży przed czekającym ją koktajlem z Harve'em Dudleyem, sprzedawcą

cadillaków, zaręczonym z Esther Aim. Co prawda odpadał jako kandydat na męża, ale pomyślała, że przyda jej się do artykułu.

Zeszła nu doi i natknęła się na Kyle'a, zakotwiczonego w swoim stałym już miejscu, czyli obok windy. Zadarła nos w górę i chciała przejść udając, że go nie zauważyła, ale Kyle chwycił ją za rękę.

- Dokąd tak ci spieszo?

- Mam spotkanie z Harve'em Dudleyem, o ile to cię w ogóle powinno obchodzić.

- Już nie masz.

- Jak mam to rozumieć?

- Ja zastępuję Harve'a.

Wyrwała mu się z wściekłością.

- Znowu wygrałeś mnie, tak? Który to był tym razem dołek?

- Żaden dołek, tylko ful. Damy na czwórkach.

- Dziwię się, że nie wyzwaleś go na zawody w nurkowaniu.

- Jesteś zła o to, kochanie? Tak jakoś nam wyszło z Jacksonem. Jako dzieci zawsze współzawodniczyliśmy ze sobą.

- Możesz być pewien, że mnie to wcale nie interesuje.

- No chodź, nie gniewaj się już. Musiałem się nieźle napracować, żeby wygrać cię od Harve'a. Może napijemy się czegoś?

I nagle pomysł okrutnej zemsty spadł jej jak z nieba. Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Dobrze. Taki piękny wieczór, napijmy się na tarasie. - Zbliżyła się i oparła rękę na jego piersi. - Może przyniosłbyś nasze drinki, a ja tam zaczekam? Mam ochotę na mrożone truskawkowe daiquiri. Podwójne.

- Za moment wracam - powiedział Kyle, pocałował ją w policzek i zniknął.

Wrócił po paru minutach, a Irish czekała na niego w ocienionym rogu tarasu.

- Jestem tutaj szepnęła, kiedy Kyle rozglądał się, szukając jej.

- Wyglądasz jeszcze piękniej w świetle księżyca - powiedział, podając jej daiquiri.

- Dziękuję, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł. To tylko sztuczne oświetlenie.

- W takim razie wyglądasz jeszcze piękniej w tym sztucznym oświetleniu rzeki i pochylił się do jej szyi, ale Irish wywinęła mu się.

- Kyle?

- Tak, kochanie?

- Według mnie Mitch Harris jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Czy wiesz, że zaprosił mnie na swoje rancho?

- O, naprawdę?

- Naprawdę. - Znów dotknęła dłonią jego piersi i zaczęła przesuwać rękę w dół, aż do paska od spodni. - Jesteś zupełnie pewny, że to homoseksualista?

- O, tak. Bez wątplenia. Nie masz po co tam jechać, dla ciebie to tylko strata czasu.

Mocno pociągnęła z przodu za pasek i wlała mu całą zawartość koktajlu w spodnie.

- Łgarz - syknęła, cisnęła szklankę w ślad za płynem, po czym odwróciła się na pięcie i odmaszerowała, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Kyle wyłowił szklanę, ale nie mógł wiele zdziałać, jeśli chodzi o truskawkową papkę, spływającą mu po udach. Najlepiej chyba byłoby poczekać, aż spłynie całkowicie.

Mogło być jeszcze gorzej. Na przykład, gdyby miał na sobie obcisłe dzinsy. Albo gdyby Jackson był świadkiem tego upokarzającego incydentu. Kuzyn wyśmiewałby się z niego do końca życia. Dzięki Bogu, że go tu nie ma.

Z cienia dobiegi go cichy śmiech i musiał pozbyć się niewczesnych nadziei. To Jackson albo Matt.

Okazało się, że obydwaj. Bracia podeszli do niego i przyglądali mu się z zaciekawieniem.

- O co chodzi u ciebie z tymi drinkami w spodniach? - spytał Jackson. Jakiś rodzaj fetyszyzmu?

- Jeszcze jedno słowo, chłopcy, a nie ręczę za siebie - powiedział Kyle ostrym tonem.

Matt udał, że zamyka sobie usta na klucz, ale Jackson nie poddawał się.

- Mówiłem, że w końcu zgubią cię te kłamstwa. Lepiej powiedz jej prawdę, bo inaczej ją stracisz.

- Masz rację - odparł Kyle z westchnieniem. - Powiem jej jeszcze dzisiaj.

- O ile będzie chciała z tobą rozmawiać.

- Tak, o ile jeszcze będzie chciała ze mną rozmawiać. Matt, może odstąpiłbyś mi dzisiejszą kolację z nią?

- Nie, wolałbym nie.

- Cholera, Matt. Powiedz, za ile.

Matt Crow okazał się uroczym towarzyszem przy kolacji. Miał takie same ciemne włosy i oczy jak jego brat, ale był chyba jeszcze przystojniejszy przez ten maleńki dołek w podbródku. Mówił z taką swadą, że powietrze wokół zdawało się wirować.

- Wina? - spytał, biorąc butelkę.

- Ja dziękuję, ale ty się napij, jeśli masz ochotę.

- Zazwyczaj piję jeden kieliszek, czasami dwa. Nic jestem wielkim amatorem alkoholu

Więc na szczęście w tym nie przypomina brata. Interesujące. Zdała sobie sprawę, że do tej pory nie zwracała na niego zbyt dużej uwagi. A tu proszę wysoki, przystojny, bogaty.

No i nie pije. Czyżby na koniec trafiła na najlepszego? Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Opowiedz mi o swojej fabryce krówek. Gdzie ona właściwie jest?

Rozmawiali o krówkach, o Teksasie, o tym, jak pierwszy raz sam pilotował samolot, a ona na pierwszym pokazie o mało nie spadła z wybiegu. Opowiedziała mu zabawne historie o życiu w Nowym Jorku, a on - o Dallas. Już od dawna nie śmiała się tak z całego serca. Kolacja okazała się nad wyraz udana.

Z wyjątkiem jednego - Kyle siedział z drugiej strony Sali i gapił się na nich przez cały wieczór. Irish próbowała go ignorować, ale mimo wszystko czuła się nieswojo, więc zaproponowała, żeby kawę wypić na tarasie.

Tym razem księżyc świecił naprawdę, powietrze było czyste i balsamiczne, niesło zapach sosen i jesiennych róż. Irish wypła kilka łyków kawy, odstawiła filiżankę i oparła się o balustradę. Pomimo

przeżyć, nagromadzonych w ciągu minionych dni, czuła się lekko i radośnie.

Chyba polubiłam Teksas-powiedziała.

- A Tekszańców?

- Tekszańców też - odparła z uśmiechem. - A zwłaszcza ciebie, Matt.

- Ja leż bardzo cię lubię - powiedział Matt bez cienia zakłopotania. - Jesteś wspaniała.

Czuła, że serce bije jej coraz szybciej. Czy to możliwe? Może to jednak będzie on? Zaciśnęła kciuki, żeby to się spełniło, a potem zwilżyła językiem wargi.

- Matt? - odezwała się cicho. - Czy możesz mnie pocałować?

Matt przez chwilę był wyraźnie zaskoczony.

- Oczywiście - odpowiedział w końcu i pocałował ją w policzek.

- Nie tak.

Wyciągnęła ramiona i objęła go za szyję, a potem przytknęła swoje wargi do jego ust. Myślała, że zaraz wybuchną fajerwerki i odezwą się dzwony.

Nic.

Przyłgnęła mocniej do niego, przycisnęła się całym ciałem i czekała na jakiś dreszcz, choćby najmniejszy... Absolutnie nic się nie działo.

- Och, nie - jęknęła i odsunęła się. - Przepraszam cię, Matt. Bardzo przepraszam.

Odwróciła się i pobiegła do środka. Słyszała, jak Kyle woła jej imię, ale za żadne skarby nie chciała teraz z nim rozmawiać. Wpadła do windy i odjechała, zanim zdołał ją dogonić, a potem schroniła się w swoim pokoju,

zaryglowując drzwi. Za chwilę Kyle już stukał do nich, ale nie chciała go widzieć. To wszystko przez niego.

Oparła się o drzwi, a porem powoli osunęła na podłogę i przytuliła głowę do futryny. Niech go diabli! Zrzuł cały ten misternie przygotowany plan.

Czyżby zauroczył ją Jackson Crow, właściciel szybów naftowych, albo jego brat, Malt, ze swoją fabryką krówek i liniami lotniczymi? A może Mitch Harris, który ma wielkie pieniądze i jeszcze większe rancho? Nie? Żaden z nich? Również nie Jim ani Bob, Spud ani Carlton, nie mówiąc już o biednym nudziarzu Aaronie...

Zakochała się po uszy w niejakim Kyle'u Rutledge'u Kim jest Kyle Rutledge? Wycina piłą łańcuchową figury z drewna.

Jak mogła postąpić tak głupio?

Zerwała z siebie ubranie, rzuciła się na łóżko i usiłowała zasnąć.

Przez godzinę kręciła się, próbując zdecydować, jak ma postąpić. Ale odpowiedź była tylko jedna.

A więc nie stanie się właścicielką posiadłości w Dallas, brylantów, limuzyny. Kocha Kyle'a i jeśli nawet będą musieli przez jakiś czas mieszkać w którymś z domków Pete'a, to jakoś to wytrzyma.

Wytrzymała już gorsze rzeczy.

Podniosła się ze zmiętej pościeli, włożyła szlafrok i pobiegła do drzwi, zdecydowana powiedzieć mu nareszcie o swoich uczuciach. Kochu go. Mimo że tak bardzo się przed tym broniła.

Otworzyła gwałtownie drzwi i chciała biec dalej, ale zatrzymała się, widząc Kyle'a. Siedział na podłodze z podciągniętymi kolanami i głową

opartą o ścianę. Miał zamknięte oczy, był kompletnie przygnębiony i wyczerpany.

- Kyle?

Poderwał głowę i spojrzał na nią, a Irish wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź do łóżka. Uśmiechnął się niewiarygodnie szczęśliwym uśmiechem i zerwał się natychmiast. Zanim zdołała cokolwiek dodać, chwycił ją w objęcia.

- Najdroższa moja, tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham.

- Powtórz to - zażądał, wpatrując się w jej twarz.

- Kocham cię.

Przycisnął ją do siebie tak mocno, że aż jęknęła.

- Przepraszam, najdroższa, ale nie wyobrażasz sobie, jak bardzo pragnąłem, żebyś to powiedziała. Nie tylko w łóżku.

- Jeszcze nigdy ci tego nie mówiłam! Ani w łóżku, ani nigdzie indziej - zaprotestowała z oburzeniem.

- Tak, tak, kochanie. Jeśli tak twierdzisz.

Śmiejąc się, wziął ją na ręce, wniósł do pokoju i kopnięciem zamknął za nimi drzwi. Zaczął całować ją, zanim jeszcze dotarli do łóżka, a Irish poczuła wybuchające wokół fajerwerki. Powietrze w pokoju aż drgało od wyładowań elektrycznych.

Tej nocy nie zapomni do końca życia.

Irish obudziła się, kiedy załaskotał ją w nos promyk porannego słońca. Leżała w poprzek Kyle'a, zupełnie naga w płataninie pościeli. Dotknęła językiem czubka jego piersi, a on natychmiast otworzył oczy.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry. Powtórz to jeszcze raz.

- Powiedziała ci to chyba już ze sto razy — odparła ze śmiechem. -

Chyba powinieneś wstawać. Dzisiaj jest finał turnieju golfowego.

- Do diabła z turniejem Powiedz jeszcze raz.

- Kocham cię.

- Boże, tak uwielbiam, kiedy to mówisz. Tak się bałem, że cię stracę, że zabierze im cię ktoś inny. Kiedy wczoraj zobaczyłem, jak całujesz Malta, myślałem, że umrę.

- Wtedy dopiero naprawdę zrozumiałam, że cię kocham.

Pocałowałam go i nic poczułam absolutnie nic.

- On ma mnóstwo pieniędzy.

- Wiem-odparła wzdychając,- To znaczy, że nie jest mi przeznaczone zostać żoną milionera.

- Mylisz się-powiedział Kyle, całując ją w czubek nosa.

Serce jej załomotało ze strachu. Co to znaczy? Czyżby nie chciał się z nią ożenić?

- Co przez to rozumiesz? - spytała ostrożnie.

- Kochanie, muszę ci coś powiedzieć, ale najpierw mi obiecaj, że nie będziesz na mnie zła. Przyrzekasz?

- Jak mogę przyrzec, kiedy nie wiem, o co chodzi? - Nagle zerwała się i usiadła na łóżku. - Kyle? Chyba nie jesteś żonaty?

- Ależ nie, nic z tych rzeczy. Po prostu nie byłem z tobą całkowicie... tak do końca szczerzy.

-Tak? - Patrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

- Nie jestem jakimś tam znajomym Jacksona i Matta. Tak naprawdę, to jesteśmy kuzynami.

Aha?

To jeszcze nie wszystko. Dziadek Pete ma czterech wnuków oraz jedną wnuczkę. Mojego brata Smitha i mnie, a także Jacksona, Matta i Ellen.

I co dalej?

Dziadek wcale nie prowadzi tego sklepu dlatego, że musi zarabiać pieniądze. On jest bogaty, bardzo bogaty. Nawet nie wiem, ile ma milionów.

- Pete Cherokee? - Irish patrzyła jak osłupiała. - Staruszek Pete jest.

- Milionerem - dokończył. - Ma pełno forsy. A wiesz, jak to się stało, że Jackson, Matt i Ellen są bogaci? Kiedy ukończyli szkoły, dziadek dał im po milionie dolarów i obiecał, że jeśli ktoś z nich podwoi tę sumę w ciągu roku, dostanie jeszcze dziesięć. Wszyscy podwoili.

Powoli opowiadanie Kyle'a zaczęło do niej docierać. Czowała ucisk w żołądku.

- A co z tobą i twoim bratem? - spytała. Kyle odchrząknął i wpatrywał się w ścianę.

- Ze Smithem i ze mną było to samo - powiedział w końcu. - Dostałem milion, kiedy...

- Powtórz to.

- Dziadek dał mi pierwszy milion, kiedy ukończyłem specjalizację.

- Pierwszy milion? Specjalizację? Jaką specjalizację?

- Chirurgię plastyczną - odparł, patrząc na nią nieśmiało.

Irish ogarnęła nagła furia. Wyskoczyła z łóżka, owijając się prześcieradłem.

- Okłamałeś mnie! - krzyczała. - Przez cały czas kłamałeś.

Pozwoliłeś mi myśleć, że jesteś ubogim rzeźbiarzem, a Pete prowadzi sklepik, a ty... ty jesteś...

- Bogaty - dokończył Kyle. - Kochanie, przepraszam za to wszystko, ale teraz naprawdę możesz wyjść za milionera. Mam kupę forsy.

Jeszcze coś sobie uświadomiła i ta myśl wprawiła ją w panikę.

- Kto jeszcze uczestniczył w tej szopce? Jackson? Matt?

- Kochanie... - Kyle wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

- Oni wszyscy. O Boże, jakie to upokarzające.

Teraz widziała, jaką zrobiła z siebie idiotkę. Na pewno stała się obiektem żartów i zresztą zasłużyła na to. Narzucała się Jacksonowi, całowała biednego Matta. Chciała schować się w mysia dziurę, a najlepiej zniknąć.

Zacząła krzyczeć na Kyle'a, wymyślając mu najgorszymi wyzwiskami, jakie przychodziły jej do głowy.

- Wynoś się z mojego pokoju, ty glisto. Już cię tu nie mu. Nie chcę cię więcej widzieć.

- Ależ najdroższa, ja cię kocham.

- Kocham? Ty kochasz? Ty ogóle nie wiesz, co to słowo znaczy.

Wyjdz! - wrzasnęła. - Wynoś się stąd!

- Dobrze, już dobrze. Wychodzę. Może łatwiej uspokoisz się i trochę ochłoniesz. Wiem, że zawiniłem i bardzo przepraszam, ale.

- Wynoś się!

- Idę, idę. - Kyle pozbierał swoje rzeczy i zniknął.

Irish padła na łóżko i zalała się łzami. Płakała, jakby serce miało jej pęknąć i chyba zresztą tak było.

Zrobić z siebie taką idiotkę. Musi stąd wyjechać. Natychmiast. Nie potrafiłaby spojrzeć w oczy Jacksonowi czy Mattowi... Kto jeszcze brał udział w tej zmowie?

Czuła się taka upokorzona. Zerwała się z łóżka i wyciągnęła z szafy walizkę.

Właśnie zatrzasnęła klapę bagażnika, kiedy spostrzegła zbliżającego się Maca.

- Dzień dobry - powiedział. - Wracam z porannego spaceru. Ależ ty chyba nie wyjeżdżasz?

Irish wytarła nos i usiłowała się uśmiechnąć.

- Tak, już czas na mnie.

- Co się stało? Płakałaś?

- Nie... Po prostu nagle okazało się, że jestem uczulona na pyłki sosen. Śmieszne, prawda?

- Wybacz, ale ci nie wierzę. Wyglądasz na nieszczęśliwą. Czy mogę jakoś ci pomóc?

- Nie, dziękuję - odparła i wtedy przypomniała sobie, ile ma pieniędzy w portfelu, a ile benzyny w baku. Raczej nie zdoła dojechać do lotniska. - Okropnie mi głupio, ale czy możesz pożyczyć mi dwadzieścia dolarów? Zwrócę ci jak najszybciej.

- Proszę, weź sto - powiedział Mac, wyjmując pieniądze. - I nie musisz mi nic zwracać. Na pewno nie potrzebujesz więcej?

- Nie, nie - odparła i pocałowała go w policzek. - Jesteś kochany. Szkoda, że nie zdążyliśmy się zaprzyjaźnić.

- Wszystko przed nami - odparł Mac i podał jej swoją wizytówkę. - Zadzwoń do mnie, kiedy już będziesz na miejscu. Może wybierzemy się razem na jakąś wyprawę?

Potem pomógł jej wsiąść do samochodu i machał ręką na pożegnanie. Irish nawet nie zwolniła przy sklepie Pete'a. Jechała prosto do Dallas, tylko raz zatrzymując się po benzynę i próbując wymyślić, skąd wziąć pieniądze na bilet powrotny do Waszyngtonu. Może powinna była pożyczyć więcej od Maca, ale jej duma nie pozwoliła na to.

Tylko gdzie była ta duma, kiedy obmyślała całe to idiotyczne przedsięwzięcie?

- Olivia? Słuchaj, nie mam czasu na szczegóły, ale proszę cię, żebyś wzięła te srebrne świeczniki od ciotki i zastawiła je w lombardzie. Jak tylko dostaniesz pieniądze, prześlij mi je telegraficznie, żebym mogła kupić sobie bilet.

Wyszła z budki telefonicznej na lotnisku w Dallas i usiadła, czekając na przekaz.

W żołądku jej burczało. Przypomniała sobie, że przecież nie jadła śniadania. Przeliczyła posiadane zasoby i uznała, że może zużyć kilka dolarów na śniadanie.

Za chwilę szła już z pełną tacą, na której piętrzyły się jajka, tosty, naleśniki, boczek, banan, płatki, mleko, soki i kawa. Znalazła wolny stolik, usiadła i zabrała się do jedzenia. Niektórzy ludzie nie mogą nic przełknąć, kiedy są nieszczęśliwi, ale z Irish było akurat odwrotnie. Mogłaby zjeść konia z kopytami.

Gdzieś w połowie śniadania poczuła na sobie czyjś wzrok. Rozejrzała się i zobaczyła Kyle'a, który szedł w jej stronę. Niestety, nie

miała żadnej drogi ucieczki, więc postanowiła go ignorować. Ukroiła sobie kawałek naleśnika.

- Irish, kochanie. Tak się bałem, że cię nie znajdę.

Zjadła naleśnik, wypła trochę kawy, wciąż zachowując się tak, jakby go w ogóle nie było. Kyle usiadł przy stoliku i próbował coś jej tłumaczyć, ale spojrzała na niego jak na powietrze. Wzięła banana, obrała i zaczęła kroić na plasterki. Kyle chwycił jej dłoń, pocałował i wsunął sobie do ust kawałek banana.

- Irish, kochanie, posłuchaj mnie.

Trudno słuchać kogoś, kto mówi z pełnymi ustami. Kyle przełknął pośpiesznie.

Kocham cię!- zawołał.

Parę osób obejrzało się na nich.

- Ludzie patrzą. Przestań robić teatr i odejdź wreszcie.

- Nie odejdę- Niech patrzą, nic mnie to nie obchodzi. Kocham cię. -

Odwrócił się do ludzi, przyglądających się scenie. - Ja ją kocham. Chcę się z nią ożenić, a ona złości się, bo jestem milionerem. Powiedzcie, czy to jest w porządku?

- Kochany - odezwała się rudowłosa kobieta w średnim wieku. - Jak ona nie będzie chciała, to ja cię wezmę.

- Marilyn!

- No co, czemu nie? Jest taki śliczny i jeszcze do tego bogaty.

- Odejdź, Kyle. - Irish odwróciła się bokiem i zajęła swoim talerzem.

Podniósł się i wyszedł, ale zanim zaczęła tego żałować, wrócił z bukietem róż, które złożył u jej stóp.

- Zaklinam cię, najdroższa, przyjmij ten skromny dowód mojej miłości i przebac mi wszystkie przewinienia. - Padł na kolana i wyciągnął do niej ramiona teatralnym gestem.

Irish pragnęła zapaść się pod ziemię.

- Cicho - strofowała go. - Robisz z nas przedstawienie. Wstań i odejdź wreszcie.

- Nie wstanę, dopóki mi nie przebaczysz.

- Na święty nigdy - odparła i znów zajęła się śniadaniem. Kyle wstał, a ona kątem oka obserwowała, jak podchodzi do małego obdartusa z gitarą, coś do niego mówi i wręcza pieniądze. Chłopiec wyjął instrument z futerału i zaczął grać, a tymczasem Kyle wracał już z kolejnym naręczem róż, śpiewając starą piosenkę Beatlesów.

W restauracji zbierał się coraz większy tłum. Kyle znów padł obok niej na kolana.

- Irish, kocham cię z całego serca. Nikt - biedny czy bogaty - nie będzie cię kochał tak jak ja. Dziadek cię uwielbia, moi kuzyni cię uwielbiają, ja cię uwielbiam. Moi rodzice i brat też będą cię uwielbiać. Już nigdy, przenigdy cię nie okłamię. Proszę, wyjdź za mnie.

Gitara grała teraz donośniej. Ktoś spośród zgromadzonych poganiał Irish, żeby powiedziała „tak”. Spojrzała wreszcie na Kyle'a, w jego wspaniale błękitne oczy, i dostrzegła w nich tyle miłości, że nie miała siły dłużej się opierać.

- Wybaczysz mi? - spytał.

- Tak - szepnęła.

- Co ona powiedziała? - zapytał ktoś z tłumu.

- Tak - powtórzyła głośniej.

Ludzie zaczęli klaskać. Kyle uśmiechał się radośnie,

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak.

Porwał ją w ramiona i pocałował. Tłum zaczął wiwatować.

RS